

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



STANISŁAW BRZOWSKI

PAMIĘTNIK

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

10. XII. 1910.

Niewątpliwie jest to dla mnie czas krytyczny: młodość przeszła doszczętnie i nastał czas, w którym nie wolno już zapowiadać, lecz trzeba dawać rzeczy mogące istnieć, mające chociażby pewne tylko prawa do istnienia. I jednocześnie coraz jaśniej występują wszystkie braki w przygotowaniu, wszystkie zaniedbania. Rozpacz jest rzeczą łatwiejszą, niż spokojne i zimne spojrzenie na rzeczy tak, jak są one. Bardziej niż wszelkie braki kultury ciąży i jest groźniejszy wewnętrzny rozstrój woli, wzrastający brak odwagi. Do pewnego stopnia on to szukając dla siebie usprawiedliwienia stwarza poczucie owych braków, chociaż byłoby rzeczą śmieszną wprost przeczyć, że są one straszliwe.

W *Revue Bleue* notatka o Meredith. Stwierdzają, że i angielska krytyka uznaje >> że nie zostawił on dzieła w rodzaju *Misérables* W i k t o r a H u g o <<. Jest to jedno z tych zdań, które wywołują we mnie przygnębienie – tak trudno zrozumieć samą możliwość ich powstania. Wszystko trzyma się tu na tem, że Meredith, według określenia krytyków *Revue Bleue* był romantykiem. W. Hugo wielki romantyczny pisarz i Meredith romantyczny pisarz – stąd porównanie. Weźmy stronicę Meredith'a i stronicę W. Hugo zarówno prozy jak i poezji, i starajmy się zrozumieć, gdzie tu jest wspólny grunt. Wartości, do jakich dążył W. Hugo i te, do jakich dążył G. Meredith, są całkiem z różnych płaszczyzn, należą, jeżeli się wyrazić można: do całkiem różnych formacji psychicznych. Nie mogą być rozmieszczone na jednym i tym samym planie, niema żadnej skali różnic i podobieństw, która by je objęła. I jaki sens w twierdzeniu, że Meredith był romantykiem. Doprawdy, chciałoby się zapomnieć, że te terminy kiedykolwiek istniały i myślę, że najrozsudniej byłoby w syntetycznym opracowaniu literatury unikać ich i dążyć do nowych klasyfikacji. Tego rodzaju artykuły odbierają ochotę do myślenia: czy warto, jeżeli mogą być mówione takie rzeczy? kto zajmuje się krytyką? A przecież tu jest teren do walki nieustannym fałszerstwem duszy i umysłu. *Richard Feverel* według *Revue Bleue* też jest tylko romantyczną powieścią miłości. Sama myśl tej powieści wprowadzająca nas w świat zagadnień Meredithowskich zginęła. Ojciec chciał stworzyć w synu coś zabezpieczonego od namiętności, wyższego niż natura, i powieść Meredith'a jest stwierdzeniem tego samego zasadniczo anti-romantycznego stanowiska wszystkich jego utworów : nic wyższego niż prawda, niż życie być nie może. Nie można go zastąpić niczem, nie można znaleźć żadnego pozazyciowego stanowiska. Głęboka mądrość Lasów Westermainu i ich piękno są już tu – ale naprawdę nieraz można myśleć, że każdy francuski pisarek uważa zawsze siebie za pewien rodzaj Roi Soleil intelektualnego świata. Jediną pożyteczną rzeczą notatki, jest dla mnie wzmianka, że Carlyle zwrócił uwagę na Feverel'a. Naturalnie, zupełnie błędnie ta Angielka wówczas zbagatelizowała moje zestawienie Carlyle'a i Mereditha. Carlyle wywarł na Mereditha wpływ niewątpliwy i nawet nie sądzę, by można było zrozumieć budowę meredithowskiego świata nie oparłszy się na Carlyle'u jako na pewnego rodzaju introdukcji.

Inna rzecz, że Meredith zdołał zattycyzować Carlyle'a, nadać mu Platoński wdzięk, szarmonizować ten świat wulkanów i gorączki. Nawet myślę, że możnaby studium nad umysłem Mereditha prowadzić w tym kierunku: rozpatrywać tworzenie się jego umysłowej samoistności, jako pracę nad uzdrowieniem Carlyle'a, nad usunięciem tego, co występuje u Carlyle'a jako *p a t h o s w y j ą t k o w o ś c i*.

Meredith bowiem należał do umysłów, które obchodziły się bez pierwiastka katastroficznego w swym myśleniu. I tu znowu Francuz ze swym romantyzmem i Wiktorem Hugo! – Pierwiastek katastroficzny odgrywa nieskończenie wielką rolę w składzie myśli każdego

romantyka. Aby logika, jego logika, zyskała władzę nad życiem, aby nagle nabrały znaczenia obiektywne stany dotychczas subiektywne, romantyk, człowiek naszej kultury, musi apelować do czegoś, co wywoła przewrót, co przerwie wieczną immanentną tkaninę życia, roztworzy nowe a *capite*.

Meredith myśli bez tego a *cap*. Sam zawikłany styl jego jest wynikiem dążenia, by uniknąć takiego teroryzmu, by nigdzie nie narzucać swej subiektywnej dowolności. W tym pięknym umyśle wszystko jest wynikiem jednego i tego samego prawa: jest to istotnie organizm duchowy, w którym panuje własna harmonia. Dlatego tak przykro widzieć, że może to być tak całkiem niezrozumiane.

Starać się, aby ani jeden dzień nie przechodził bez wzniesienia się myślą do zasadniczych celów i zadań. Nazbyt już wielką władzę ma nademną zasada »wyrównania«, nazbyt łatwo niweluje mnie powszedniość tj. miejsce przecięcia wszelkich punktów widzenia – punkt ich neutralizacji absolutnej.

Pierwsze wrażenie pierwszych kilkunastu stron Bradley'a raczej odstręczające. Koncept o kochance ma w swym stylu coś, co nie wróży dobrze. Ale to naturalnie należy już do dziedziny niemal historycznej; myślę jednak, że jest i coś innego w tym wrażeniu. Czy nie znajdę już człowieka, lub czy nie znajdę siły – by być d i r e k t w metafizyce – zawsze z ukosa. Pierwszy rozdział Bradley'a niewątpliwie, że jest zupełnie udany, jeżeli chodzi o to, by wznówić poczucie obecności problemu przez n o w e , a więc z natury rzeczy dziś wyrafinowane przedstawienie sprawy, przez pominięcie argumentów >>common place<<. To styl; filozoficzny, ale napewno styl, nietylko w znaczeniu dowolności – lecz także w znaczeniu musu = swobody = natury. Zagadnienia stają się obecnymi, widzenie staje się obecnym tylko przy pewnych warunkach, odpowiadających rodzajowi i poziomowi kultury. Warunki te muszą polegać właśnie na tem, aby im bardziej ogólną była prawda, im bardziej *terre à terre* – tem prawdopodobniejsza droga prowadziła do niej. Umysł ceni w gruncie tę drogę, a w żadnym razie obejść by się bez niej nie umiał.

Krytyka dla tego jest tak beznadziejnie droga i tak beznadziejnie bezcelowa, że musi coraz nowe przyjmować pod uwagę płaszczyzny i punkty widzenia dla swych klasyfikacji. N. p. w jaki sposób dochodzimy do bezpośredniego życia własnego, w jaki sposób powstaje osobiste zainteresowanie, widzenie czy problem.

Nie zrażać się, nie zrażać się, że niema żadnej perspektywy, sensu i pożytku przedemną, że działanie wydaje się tylko dziwactwem osobistym i manią. Nie zrażać się, ale starać się wyjść z tego stanu. – Módl się. Módl się przez wzniesienie umysłu codziennie, choćby na chwilę do dziedziny, gdzie stają się widocznymi twoje zagadnienia. Staraj się, by były one bliższe ci, byś nie potrzebował czerpać z ich obecności upokarzającej otuchy, że oto są one w tobie. Aby w t o b i e nie było jako moment oddzielny – order czy dyplom parwenjusa. Miej ciągłą obecność własnych zainteresowań.

Mój Boże: dlaczego tak pracowano nad tem, aby zniszczyć mój umysł. Nie powstrzymuj goryczy, ani też nie oddawaj się jej. Staraj się zrozumieć działanie własnej natury myślowej – odbudować jej swobodę – nie umiesz prawie wcale pisać swobodnie. Szukaj. Szukaj nie z tą myślą, że natura jest to coś łatwego, coś co przychodzi bez trudu. Nie, natura – to stan myśli, zespół celów, miar i ideałów, przy zbieżności (?) których wszystkie zdolności nasze są zatrudnione i rozwijają się, ale sam ten zespół jest dziełem konstrukcji i woli.

Nie ulega wątpliwości, że estetyka P r z y b y s z e w s k i e g o sprzyjała niechlujstwu umysłowemu. Przy niej powstał stan rzeczy tego rodzaju, że można było nie wiedzieć, co się chce napisać i nie tracić nadziei, że naga dusza выведетъ, jak powiadają moskale.

Nie powinienem dopuścić, aby znajomość literatury rosyjskiej zmarnowała się. Trzeba doprowadzić do końca pracę nad Uspieńskim.

Starać się opracować m ł o d ó ś Renana – bez uwzględnienia na razie dalszych etapów, więc może aż po *Avenir de la science* i nie dalej, co najwyżej *L’Averroès*. Daje się to zupełnie pomyśleć i wykonać.

Renan, Sainte Beuve, Hegel, Balzac, niewątpliwie nabrałbym otuchy, gdybym zdołał ich opracować. Przemódz to niedołęstwo, które rozpościera się we mnie. Módl się. Modlitwa jest obecnością w dziedzinie praw i celów, zatopieniem się w tych sferach, gdzie istnieją prawa i cele. Tam jest granica. Stamtąd możesz myśleć o Bogu bez bałwochwalstwa.

Staraj się żyć modlitwą, a nie polemiką i przeciwstawieniem. Siła ginie w tem tarciu i nie rodzi się pewne światło.

B l a k e ma dla mnie znaczenie niezrównane. Jest on dla mnie wielkim świadkiem. Dość pomyśleć o nim, by od razu wydobyć się na poziom wysokiej myśli.

Stan duszy powstający przy czytaniu pierwszego tomu poezji S w i n b u r n e’a. Świat przedstawia się w kształtach piękna najrozmaitszych epok, nie możemy wyrzec się żadnego z tych kształtów – są one wszystkie razem na jednej płaszczyźnie i powstają pomiędzy nimi stosunki, porównania. Nie ma żaden z tych światów władzy nad nami bezwzględnej, nie jest naszym światem i mając ich tyle, nie mamy jakby żadnego. Dla tego też istnieje w tej poezji pierwiastek ciemnego, zdławionego żaru. Miłość piękna, wielkość życia i jednocześnie przemijanie, jakby bez śladu, bez powietrza. Jednocześnie ten sam moment jest naszym bogactwem: rozporządzamy wszelkiem pięknem, nie wyrzekamy się żadnego. Bogactwo niewątpliwie już tylko artysty, gdyż u Goethego – jeżeli nie u rzeczywistego, to u Goethego pomyślanego, że tak powiem, jako idea Platońska – życie osobiste posługuje się całą historią jako swym organem i tworzy w niej swój organizm. Tu historią panuje, poprzedza życie, nie dopuszcza do ustalenia się żadnego sensu, żadnego własnego nie „artystycznego” kształtu. Pierwsze wrażenie to jednak tylko.

U A r n o l d a: говорность – jak przetłumaczyć ten wyraz. Świat sobie i ja sobie. Pluralizm nietykalskiego. I pomimo wszystko właściwie o n może jest bliższym mi, niż kto inny, z tej właśnie mało zachęcającej strony. Pomimo wszystko s y t u a c y j n i e, pokrewieństwo z Carlyle’em bardzo wielkie.

N e w m a n niewątpliwie ulega jakiemuś procesowi we mnie. Nie wydaje mi się paradoksem, gdy powiem, że w skali Meredith’owskiej Byron i Newman, (John Henry – byłby oburzony i zgorszony), są możliwymi etapami jednego i tego samego procesu. *Amazing Marriage*. Katolicyzm w Anglii może być istotnie rozpatrywany, jako wynik arystokratycznego egotyzmu, jako wytwór tej samej psychologii: nadmiaru bogactwa. U Moore’a rozmowa czyjaś (nie pamiętam – ach, tak, Walter Scotta) z Byronem. Walter Scott twierdzi, że jeżeli Byron się nawróci, katolicyzm prawdopodobnie skusi go najprędzej.

B y r o n i z m , N e w m a n i z m z punktu widzenia Carlyle’owskiej fenomenologii Anglii, złe sumienie bogactwa, arystokracji nie umiejącej rozkazywać, a nie mogącej, nie chcącej – ale przede wszystkim nie mogącej (psychicznie) zrzec się rozkazywania, myśleć o sobie w innej formie. Trzeba pamiętać o tem.

Religia twoja nie powinna być nawróceniem. Strzeż się, strzeż się tego i tamtego błędu. Katolicyzm niewątpliwie. a l e a n i m o m e n t u nie wolno ci uronić.

Aby dobrze zrozumieć poezję angielską takich ludzi jak S. T. Coleridge, Blake, Keats, Meredith, Shelley. T r z e b a nie tracić z oczu ani na jedną chwilę przeświadczenia o metafizycznej istocie poezji, trzeba widzieć w niej istotnie Ποιησις, tworzenie życia, nowych taktów duszy ludzkiej, jej nowych organów, nowych bytów duchowych. Tylko taki pogląd broni nas od anegdotyzmu i sentymentalizmu w poezji. Poezja powstaje tam, gdzie syntetyczny obraz świata, zespół myśli, słowem pewien byt duchowy, pewna forma idealna człowieczeństwa jest odczuta jako radość i trzyma się mocą swego czaru nad duszą i umysłami, nad całem życiem. – gdy więc pewna idealna forma człowieczeństwa zostaje stworzona, wydobyta z samego wnętrza życia; przy ocenie jej idzie nam o tę formę właśnie, o jej jakość, zakres, i tylko mocno stojąc na tym gruncie zdobędziemy swobodę od ilościowego niejako punktu widzenia, zrozumiemy, że istotnie jeden fragment poetycki Keatsa może mieć wartość potencjalną, równą wielotomowej twórczości szczęśliwszych poetów. Pamiętać o tem, jeżeli się chce zachować właściwą orientację. Dalej pamiętać, że ten pogląd –muszę, pisząc, posługiwać się śmiesznymi przeciwstawieniami – nie daje się pogodzić z żadnym lekceważeniem tego co jest, „zmysłowym czarem poezji”. Przeciwnie, ten czar to czyni właśnie poezję głębokim dziełem życia, w magii formy jest jej element twórczy, w życiowym, metafizycznym znaczeniu. Dlatego też nie można nawet mówić o współodpowiedniości formy i treści, o bogactwie treści i ubóstwie formy. Poetycko treść jest formą, by być poezją treść musi się stać radosnym faktem życia, a jest tembardziej sobą, im bardziej całe życie obejmuje. Każdy element obojętności istniejący w nas, mogący istnieć w chwili poetyckiego ujęcia, uszczupla głębokość poezji, jest połączony z jej uszczerbkiem. Poezja musi być pojmowana jako twórcza autodefinicja człowieka.

12. XII.

Przystępuje się najzupełniej spokojnie do analizowania takich zjawisk jak >>rozum<<, >>wyobraźnia<<, >>poznanie<< i ignoruje się najzupełniej ich społeczno-historyczną strukturę, przeciwnie: uznaje się milcząc za punkt wyjścia, że należą one tak lub inaczej do samej natury człowieka, stanowią moment jego definicji.

Gleb Uspieńskij formułuje właściwości myśli rosyjskiej jako niedowierzenie do samej sobie i szacunek krytyczny, niemal nieprzewyciężony do myśli cudzych, które są wstanie naszym: „по шапкъ датъ”. Eheu! i niewątpliwie czepia się ta choroba nie tylko rasowych Rosyan, lecz wszystkich, co zaznali dobrodziejstw caratu i przede wszystkim szkół rosyjskich, o których tow. Łunaczarski jest tak dobrego zdania („Русская школа не хороша, но это ужъ оставтъ!”). Niewątpliwie bowiem. nie ufam myślom i kierunkom myśli, które przychodzą mi z łatwością. Dlatego piszę nieraz lepiej i głębiej, gdy się muszę spieszyć, bo wtedy nie mogę się krępować i wtedy zwycięża instynkt nad nieufnością. Czasami myślę, że nie uda mi się już wyleczyć z tej garbacizny, tem bardziej, że i tu staje na przeszkodzie znowu zapewne Siengalewiczowska szczepionka: nieufność do pracy nie narzuconej zewnętrznie, niewiara w nią. Procesy umysłowe odbywać się muszą we mnie incognito i przez cały czas trwania swego, uchodzić za coś podejrzanego. Ani na chwilę niemal dobrego sumienia intelektualnego, gdyż tak urządzono mi, – i myślę, że mógłbym powiedzieć nam,—samowiedzę kulturalną, że to właśnie, co jest pracą istotną, wydaje się jakimś beznadziejnym oszukiwaniem samego siebie. Trzebaby nie żyć własnymi myślami, nie budować na nich, nie wytwarzać na ich podstawie planów i woli, aby być w zgodzie z tą kulturalną samowiedzą, – a więc musi się być w niezgodzie z nią – niezgodzie tak głębokiej, że wytwarza się n i e w i a r a w życie osobiste nie jako celowość już nawet, ale wprost rzeczywistość.

Ale nie o tem chciałem mówić. Chcę, jak zawsze incognito i pod podejrzeniem, ująć zasadnicze rysy współczesnej literatury i naturalnie w myśl osobliwego mechanizmu tu opisanego, moje centralne myśli są na obwodzie i posiadają dążności wyłącznie odśrodkowe.

Przedewszystkiem, czy istnieje jakaś idea człowieka, właściwa polskiej literaturze XIX wieku. Niewątpliwie p. Koneczny ma słuszną i gdzieś tam w XIV, XV wieku istniała taka idea, istniała zapewne w XVI wieku, istniała i następnie, jeżeli zważyć, że katolicyzm najbardziej zwyrodniał jest jednak ideą ujętą wprost.

Gdy mówię wprost, mam na myśli brak tego właśnie momentu bezpośredniej poznawczej szczerości w literaturze ostatniego stulecia.

Nie idzie tu o to, czym jest życie, człowiek, a le o stosunek tego wszystkiego do zagadnienia narodowej niepodległości, istnienia narodowego. Ale naturalnie, że dzieje się to nie w formie świadomego rozkładu planów i stosunków, lecz w drodze bezwiednego, instynktownego podporządkowania wszystkich czynności umysłowych zagadnieniom specjalnym, historycznie określonym.

Przy studiach nad poezją angielską nie można stracić z oczu uwagi, którą znajduję w młodzieńczym szkicu Newmana: *A right moral state of heart is the formal and scientific condition of a poetical mind*. Jest to niewątpliwie aksyomat. I niewątpliwie jest to, zwłaszcza z przytoczeniem źródła, bezwzględna, niezawodna w działaniu czerwona szmata dla naszych postępowców. Gdyby nie to, że jest im zupełnie obcą i zupełnie obojętną rzeczą, czym jest poezja, jak żyje, skąd czerpie swe źródła i siły, możnaby powiedzieć, że gdyby im tę samą prawdę przetłómaczyć na inne terminy, widzieliby w niej oni objawienie. Nie mogę teraz analizować Newmanowskiego powiedzenia, ale stanowi ono klucz moich pozycji krytycznych.

Mój tom o Newmanie trzeba będzie bezwzględnie cofnąć i zrobić według całkiem innego planu. Niewątpliwie było to zuchwalstwem przypuszczać, że uda mi się ująć w ciągu tak krótkiego czasu, życie tak zastraszająco głębokiej jednostki, życie zresztą człowieka, który mówi i myśli wielowiekowym historycznym doświadczeniem.

16. XII.

Co zastajemy? Życie poprzednich pokoleń ludzkich i nasz do niego stosunek. To jest punkt wyjścia mojej filozofii i jej założenie, określające metodę, charakter, stosunki do innych kierunków.

Stąd roztacza się całkiem inny widok dla krytyki, biografii, historii. Przedewszystkiem krytyki.

Każdy wybitny, każdy silnie żyjący człowiek z m i e n i a coś w tych postulatach, które są zawiązkiem wszystkich pewników, całej rzeczywistości ludzkiej. W nim chwytny na gorącym uczynku to rodzenie się nowych tonów, wartości, – nowych właściwości życia. Krytyka jest analizą naszego oddychalnego powietrza. Wykrywa ona genezę jego pierwiastków i ich wartość.

Darwinizm kultury: warunki ekonomiczno-biologiczne, rozstrzygają o żywotności form >>słowa wcielonego<<, ale niema związku zasadniczego, koniecznego pomiędzy nimi a >>słowem<< – jako twórczością. I tu punkt widzenia de Vriessa.

Trzeba mieć odwagę, nie wolno ci jej nie mieć. Nie wolno ci nie zarabiać. Skąd to tchórzostwo? Byłem kiedyś odważny i nie traktowałem mojej pracy, jako autoekspresji, liry-

zmu, które – przypadkowo niejako – dają mi byt. Czemkolwiek bądź jest twój świat umysłowy, musisz z niego uczynić narzędzie walki i pracy! musi on być twoją podstawą.

Módl się: naucz się żyć myślą w surowym świecie – raz na zawsze bez powrotu, bez potrzeby wdzierania się z trudem.

Ośmieliłeś się zaważyć na cudzym życiu: masz dziecko. Nie tylko faktem jesteś, lecz i przyczyną – stwarzasz fakty. Nie wolno ci nie mieć sił. Tu twój najpierwszy sprawdzian. Co ci odbiera siły – jest trucizną.

Niechaj metafizycy wzruszają ramionami: tu jest twój związek z tem, co jest i tędy wkracza w twoje życie powaga istnienia. Tylko tędy. Tu musisz być rzeczywisty.

Tu upadłeś: nie umiesz być już dobrym w domu, kiedyś umiałeś. Nie myśl o sobie. Przestań. Zobaczysz, że ci to ulży. Wiesz o tem. Tylko kiedy mieszkasz myślą w sobie, jesteś tchórzem. Naucz się rozwiązywać drobne zadania równowagi domowej. Robiła ci dobrze atmosfera troski o drobiazgi. Dobrze jest mieć taki pierwiastek łatwo dostępnej prawdy, dziedziny, w której zaraz występuje różnica pomiędzy kłamstwem i prawdą. Staraj się to odzyskać.

Troska codzienna w życiu myśliciela i poety bywa źródłem natchnienia, a przynajmniej pewnej drogocennej strugi krwi w tem natchnieniu. Stąd ją miewał Balzac, stąd Dostojewski.

Ciche tryumfy szlifierstwa, stałe i spokojne, cierpliwe i żmudne, czy nie czujecie ich w patosie Etyki.

Na czemś życiowem musi być zawsze wsparta myśl i związki tu mogą być bardzo dziwne.

Nie zlorzecz trosce.

Uczciwość myślowa jest najtrudniejszą rzeczą. Człowiek o wiele łatwiej zdobywa się na wszystko inne, niż na zrozumienie, że myśli tylko to, co myśli i tak jak myśli, że nie ma sposobu wydobywania czegoś więcej z własnego procesu myślowego, niż z natury wewnętrznej treści naszego życia i całokształtu jego stosunków do poprzedzających nas i współczesnych nam procesów życiowych on zawiera.

18. XII.

Nie powinienem tyle rozmyślać nad przyczynami braków mojej organizacyi umysłowej. Jest to nowy nałóg u mnie i niewątpliwie w związku z strasliwym osłabieniem czynników twórczych. Przyczyny te, to brak wzorów w otoczeniu, jakichkolwiek bądź przykładów i wskazań, a mnóstwo najróżnorodniej szych czynników i dezorganizujących i osłabiających wolę.

Rodzice moi byli oboje, w różnej postaci, rozbitkami szlacheckiego rozkładu: z tradycjami zamożności i majątku, bez tradycyi pracy, z osłabionem lub zanikającym poczuciem rzeczywistości, celów i uczuć ogólnych. Myślę, że może wyzwoliłoby mnie raz na zawsze jasne wypowiedzenie tego wszystkiego, ale nie czuję się teraz do niczego zdolnym. Żadna książka nie daje mi uczucia asymilacyi natychmiastowej, przyrastania myśli i duszy. Właściwie oprócz Sorela, tylko o Meredice, Blake'u i Bergsonie, mogę twierdzić z bezwzględną pewnością, że fenomen miał miejsce. Z dni młodości, pamiętam dni z Buckl'em, Michajłowskim, Haecklem. Potem silnie zaciężyła na mnie książka Bierdajewa o Michajłowskim „Проблемы идеализма”. Zapoczątkowały one fazę intensywnego wżycia się w idealizm niemiecki. Pamiętam taką chwilę z Schellingiem Kuno-Fischera w kawiarni Udziałowej, podczas oczekiwania na posłańca ulicznego z zaliczką z redakcyi, czy księgarni, gdy literalnie, może jak nigdy przedtem, ani potem, doznałem wrażenia wyjścia z ciała, z siebie. Pamiętam także pewną godzinę jazdy z Otwocka do Warszawy. Godzinę,

która raz na zawsze wyzwoliła mnie od naturalizmu. Potem do Sorela nie miałem już tak silnych przeżyć. Musiałbym skontrolować, w jakiś sposób, wrażenia przy czytaniu 4. i 5. tomu Literatur Słowiańskich we Lwowie w 1905 r. Więcej zaufania mam do myśli przy czytaniu przedmowy Thodego do Świętego Franciszka.

19. XII.

Democratic Vistas Whitmana – przygnębienie gniece duszę przy czytaniu. Gdzie miejsce dla nas, dla Polski, w tych perspektywach, gdzie pewność i wreszcie : gdzie potrzeba samej tej pewności. List Whitmana do rosyjskiego tłumacza, poczucie powinowactwa dwóch ogromów przyszłości. Smutek! smutek! Nie można bez zastrzeżeń oddać się człowiekowi, zaufać mu. – A śmieszność myśli, która się boi człowieka, przyszłości jego. Przed laty mówiłem bezlitośnie o Krasieńskim – dzisiaj nadszedł jego odwet. Polska dla Whitmana to tylko feudalizm w jego pojęciu i przecież t a k j e s t właściwie. Trzeba myśleć, trzeba przekonywać siebie, trzeba przypominać, że Polska to także warunek nieuproszczonej przyszłości 20 milionów, które miały, mają, lub będą miały nieszczęście urodzić się Polakami. Ale to już inna perspektywa. Niema tu miejsca na oceaniczną bezbojaźliwość, —przeciskać się trzeba szczelinami. Stąd współczucie dla Sorela: i on ma na sobie przeszłość zorganizowaną, rozczłonkowaną, raz na zawsze niezmienną, żyć musi w jej warunkach. To nie zmienia rzeczy, że Whitman się ludził, choć nie do tego stopnia jak to przypuszczałem, pisząc o nim niesprawiedliwie i sucho, jest on mądrzejszy, bardziej „*dix-huitième siècle*”, niż myślałem, – naturalnie to znaczy, że ma w sobie więcej tego elementu, niż myślałem, nie znaczy, aby go ten element określał – ale jego złudzenia nic nie znaczą. Fakt jest, że pomiędzy każdym z nas i błogosławieństwem myśli, leży nieszczęście, rzecz określona, ciasna i uboga. Kasprowicz i Whitman – istotnie to określa. Biedny, oślepy słońceznik i szeroka, żywa, nieogarniona, widząca dusza oceanu w wicherze i słońcu. Biedny oślepy słońceznik!

20. XII.

Naturalnie, kiedy teraz myślę o Anglii XVIII wieku, wiem, że jest to środowisko Blake'a i dlatego w i d z ę je w jego świetle, a jest rzeczą niezmiernie trudną zdać sobie sprawę, gdzie kończy się wpływ tak określony. Ataki na Taine'a: jak gdyby twierdził on, że można z danego środowiska, danego momentu, danej fazy, wydedukować poetę: – co za nonsens! Taine tylko uczył, jak analizować danego poetę na momenty, w celu wyzyskania literatury dla charakterystyki życia przeszłości dziejowej.

Askenazy contra Taine!

Spodziewam się. Pojęcie człowieka, wizy a życia w jego powadze i demonizmie nie na rękę sprytnemu dostawcy optymizmu narodowego.

Naturalnie – do Askenazych należy najbliższa przyszłość. Ponad realnem, krwawym życiem rozdartem na przeciwieństwa, płynie wartki prąd uczuć, różnych motywów jednokowych u wszystkich. P. P. S., N. D., P. D., wszystkie te grupy wytwarzają skłonność optymistycznego szacowania przeszłości i współczesności. Naturalnie ten optymizm musi być niezróżniczkowany; wtedy czyni zadość wszystkim.

I w jaki sposób Sz. Askenazy może cenić Taine'a wobec tego. Tylko ciekawe, dlaczego wogóle go tyka.

21. XII.

Czytając Sainte Beuve'a trzeba zwracać uwagę na powiedzenia ogólnikowe, myśli natknięte po drodze. Jest to charakterystyczne dla typu pisarskiego, do którego on należy. Ludzie ci żyją w pewnej rzeczywistości i nie myśląc o niej, wypowiadają ją. Sainte Beuve jest w takim stosunku do kultury francuskiej: nie tyle ważne są – o ile są one w ogóle – ogólne umyślnie definicje tej kultury przez niego, ile raczej jej życie w nim samym; jest ona wewnętrznym prawem jego umysłu, zasobem nie tylko miar, ale i ustalonych faktów. Tak pisząc o Carrelu mówi on z powodu częstego użycia przez niego wyrazów oderwanych, doktrynerskich, że to nie jest styl Ludwika XIV., równie dobrze, jak nie jest stylem barwność, nieskrępowany patos etc. Na czym polega więc ten styl? Na tym, że była to żywa harmonia, fakt zrównoważony, ale fakt – nie systemat. Fakt, a więc abstrakcyjna suchość doktryny politycznej nie była w zgodzie z jego rzeczywistością; zrównoważony, a więc życie, aby tu istnieć, musiało stać się zdolnym do istnienia, pozyskać prawa. Stąd wypływają wszystkie właściwości zasadnicze. Styl wyklucza wszystko, co każe nam wierzyć w nagłą i ostateczną przemianę w naturze ludzkiej – jednocześnie wyklucza, nieuspołecznioną, nie >>châtiée<< naturę. W tym świetle trzeba rozważać tę literaturę.

Gdybym miał wolę, zająłbym się tego rodzaju pracą: niezależnie od wszystkiego, co muszę pisać, by żyć – zacząłbym powoli i spokojnie opracowywać Goethego, nie spiesząc się, ale nie odkładając, posuwając z wolna, ale stale z dnia na dzień znajomość jego pism, zrozumienie jego wewnętrznego życia bez przesady w drobiazgowości, ale z precyzją psychologiczną nie zostawiającą nic w stanie frazeologicznie plastycznej. W ten sposób mógłbym stworzyć książkę, która organicznie wchłonęłaby i zaasymilowała całe moje życie duchowe, wszystkie właściwości mojego ja.

Niewątpliwie mam dużo do powiedzenia na usprawiedliwienie mojej nieczynności, apatii i przygnębienia, i to właśnie jest fatalne, że mam tyle obiektywnie słusznych racji. Co po tej słuszności?

Twoją psią służbą jest pracować, czy masz ochotę czy też nie, czy widzisz cel pracy, czy bez celu.

Skakanie przez kij. Skacz. Nie rezonuj!

Goethe – wiem ile jest nudy, martwoty do przewyciężenia, ale on ją też przewyciężał. A niewątpliwie wyrasta on coraz bardziej.

Mój Boże! jak mały, jak żakowsko naiwny jest w 5/6 swych poruszeń osobistych Byron. Osobista poezja. Tak i nie!

Bo gdyby nie to, że Byronowski egotyzm w poezji jest inny, niż ego Byrona w życiu, nie moglibyśmy znieść jego rzeczy – chociaż jeszcze nie wiem, co zostanie, co zostałoby, gdybyśmy śmieli, gdybym śmiał i gdybym umiał patrzeć jasno, widzieć szczerze i mówić bez przesady. Gorzkie to złudzenie krytyka.

Ten Brzozowski mówi tylko o spirytyzmie, powiada Zofia Nałkowska. Ona wie napewno, wie jasno, czym jest człowiek!

Requiescat. Kłąć n a c i s k na podświadome, byle nie używać słów, które kaleczą wolnomyślnie uszy.

Jakie nieustraszone są te badawcze dusze.

Co mi po tem wszystkim? Po co to piszę. Już przeszła, skończyła się młodość. Wiek dojrzały zastał bez sił, obciążonego przeszkodami, źle przygotowanego. Już niema atmosfery marzeń. Śmierć może czekać lata, ale potencjalnie, *in idea* stoi za ramieniem.

Co chcesz, co umiesz, co możesz robić? a nade-wszystko to, lub tamto – tyle lub mniej robić musisz.

Wszystkie myśli są tak jasne, tak zdumiewająco, aż do niepotrzebności własnej jasne, gdy je wyłuskać – to jest oczywiste!

Naturalnie.

Ale tej oczywistości n i e w i d z i nikt. Śmieszna tragedia filozofa w Polsce.

Filozof! kiedyś wyparłem się tego tytułu.

Drażnili mnie ci młodzieńcy lwowscy. Nie jestem istotą ucywilizowaną, muszę żyć poza kontrolą – a społecznie.

A zresztą istotnie ten E... nie jest filozofem, jeżeli nim mam być ja. *Vice versa*.

Ale co ma robić filozof w Polsce? Skąd, dokąd, poco? Ciekawa historia. Całe życie niemal człowiek ma myśli, któremi możnaby się przejąć, gdyby była po temu sytuacja. Trzeba więc szukać d l a n i c h s y t u a c y i, wmawiać w siebie, że się ją ma.

Ale jedni drugim psują zabawę.

Jest to już stadyum wyższe.

Stadyum pierwsze, normalne prof. Twardowskiego – bezsytuacyjna myśl normalnie, porządnie wyłożona. *Eccolo!* Filozofia jako wstęp do umiejętnego pisania referatów.

Warszawskie formacje jeszcze rozpaczliwsze.

Cóż n. p. Mahrburg? myśl równie bezsytuacyjna, ale sprzyjająca czemu?

Twardowski ma referaty, to jest grunt, ale co ma Mahrburg ?

I° myśl bezsytuacyjna, ale stwierdzająca, że Mahrburg ma słuszość, a więc bijąca Struwego, Masoniusa etc.

II° bezsytuacyjna, ale mogąca się podobać postępowemu kościółkowi – to jest wszystko.

U Masoniusa nikt nie dojdzie.

U Abramowskiego niewątpliwie jest już faza II.

Faza III. Myśl musi wyrastać z sytuacji – ale jaką jest ta sytuacja, czy może mieć myśl? To się rozwiązuje łatwo, gdy się jest obywatelem Stanów Zjednoczonych, ale w P o l s c e?

A przecież moje życie jest przegrane, jeżeli się z tem nie uporam.

Gdybym to wiedział mając lat 20, nawet 25.

Mógłbym to wiedzieć. I naprawdę nie moja to wina, że nie wiedziałem. Moja także, ale nie tylko moja, może nawet przeważnie nie moja.

Ale winien tego ?

Tu istotnie winien, czy nie winien: kulka w łeb.

Tow. Daszyński: Ten ma sytuacyjne myśli, ale myli się w określaniu swojej sytuacji. Postępuje logicznie i jak ona mu każe, tylko, że ona jest inna, niż on sądzi.

Aha! tu jest węzeł.

Przedewszystkiem trzeba mieć ową sytuację. I znowu nieprawdą jest, że jej nie mam. Mam, ale nie mogę sobie dać rady z nią.

1. Dlatego, że polega ona na duchowym splecieniu auto-hypnoz i krzyżujących się działań hipnotycznych między pisarzem i publicznością. To ważne. Pisarz pisząc określa dla siebie swą publiczność, będzie ona dla niego już zbiorem ludzi, którzy czytali, przyjęli i uznali to, co on napisał. To może być złudzenie obiektywnie, subiektywnie ten fakt powstaje i działa. Dlatego własna przeszłość pisarska jest tak bardzo wnikliwym, wszędobylskim przeznaczeniem.

2. Wiem i mogę i umiem mniej, niż wierzyłem, pisząc dotąd.

Trzebaby szczerze rozczarować publiczność i siebie, co do tych 2-ch punktów i wychować siebie do publiczności, któraby znała moje prawdziwe myśli, prawdziwą wiedzę, wtedy mógłbym sytuacyjnie pisać.

Ale sytuacyjnie myśleć! Boże, Boże! Trudna to naprawdę rzecz być dzisiaj Polakiem, chcieć myśleć, chcieć pracować.

Gostomski i lud wiejski.

Powiem teraz (*esprit d'escalier*) na czym polega różnica pomiędzy ludem wiejskim a klasą robotniczą. Że ten pierwszy zaspokaja się obierzynami naszej myśli, że przestajemy myśleć odpowiedzialnie, gdy myślimy dla niego t. j. nie myślimy, nie piszemy dla siebie. I dlatego Gostomscy lubią lud wiejski.

Oddawna czułem, że tu, właśnie tu, w tym >>wiejskim ludzie<< jest mój specyficzny wróg.

Mój! Bo w gruncie nie dbam o nic, tylko o to, co jest myślą i jej wypowiedzeniem.

Gdzie to się kończy, kończy się moje czucie.

Więc w każdym razie nie >>wiejski lud<<. Albo tak, lecz dla tych, co umieją myśleć sytuacyjnie z niego. nie >>dla niego<<.

Obierzynki sentymentalne.

Ile kłamstw sprzysięgło się dziś na myśl polską.

Żeromski? Niewątpliwie: nietylko myli się, ale i kłamie – nie jest szczery, ale pomimo to on jest dziś najgłębszy, najsilniejszy, najodważniej czujący.

Tu Ortwin nie ma racji.

Tembardziej Zrębowicz. Zrębowicz, który chce mieć Cyprjana Norwida bez katolicyzmu – ale dość.

23. XII.

Dawid zwracał mi uwagę, że r e l i g i a jest zawsze współodpowiednikiem siły życiowej. Jest to zupełnie zgodne z moimi pojęciami w tej sprawie. Sądziłbym, że należałoby jeszcze uwzględnić i wyjaśnić stosunki zachodzące pomiędzy tymi momentami a erotyzmem i twórczością artystyczną. Spostrzeżenia nad tem, co może być nazwane – jeżeli wogóle można posługiwać się tego rodzaju uogólnieniami – „narodowym charakterem polskim”, doprowadzają nas do potwierdzenia tych poglądów. W samej rzeczy obojętność religijna, brak energii politycznej, ekonomicznej i niezdolność do tego, co może być nazwane *vie passionelle*, idą tu w parze. Byłoby dobrze istotnie przestudyować chociażby *Ogród fraszek* z piórem w ręku, mając na uwadze te punkty widzenia.

24. XII.

Przekonanie, że nasza epoka ma charakter wybitnie rewolucyjny, niestały, krytyczny jest połączone z niebezpieczeństwami dla naszej kultury osobistej i równowagi umysłowej. Łatwo bowiem wyrasta stąd pokusa niestałości i chwiejności w poglądach, a szczególnie braku jasności w pojęciach. Jestem pewien, że znaczna część osób z kół postępowych nie posiada jasnych i określonych wyobrażeń o najznacniejszej części przedmiotów i zagadnień.

Nie dobrze jest, że gardzę zazwyczaj przykładami z powszedniego życia: n. p. jest rzeczą nielogiczną, nieracjonalną przypisywać szczególne znaczenie miejscu, gdzie się przeżyło coś szczęśliwego, lub znaczącego dla nas; niewątpliwie jest prawdą, że wszystkie miejsca są jednakowe, póki jedno nie zostało wyszczególnione przez przeżycie nasze; tu jednak zostało ono już wyszczególnione. Chwytamy w tej drobnostce na gorącym uczynku samą naturę racjonalizmu: uważać przeżycie i nie przeżycie za równoznaczne; życie za zasadniczo zbędne; faktycznie jest ono, lecz mogłoby i nie być – nic by się przez to nie zmieniło.

Ecce homo Nietzschego, *Reflexions sur la violence*, *Enquête sur la monarchie* – wszystkie te książki są nacechowane głęboko przynależnością do jednej i tej samej epoki, do jednego i tego samego wieku w życiu kultury europejskiej. Jest bowiem niewątpliwe, że *toutes précautions gardées*, analogia ta wyraża rzeczywistość. Analiza tego faktu tu zajęłaby mi zbyt dużo czasu. Zresztą konkretny wypadek wystarczy do zaznaczenia i ogólnej linii. Najogólniejszym rysem kultury zachodniej Europy w ciągu XIX stulecia, jest niewątpliwie to, że nie ma ona organicznego systematu, że jednostki nie wrastają w świat rzeczy, lecz dążą do tworzenia rzeczy, określania ich, lub też określają je, ale zawsze z siebie. Ego jest tu już zawsze momentem znamionym. *Too much ego in their cosmos*. Zapomniałem gdzie to czytałem, bodaj, że u G. K. Chestertona lub Wellsa. Ale nie o to idzie. Nastął moment, gdy naiwność romantyczna została utracona. Epoki à la Louis XIV, grand siècle, ew. może jedyny przykład wielki od XVI wieku czegoś podobnego, nie zdawały sobie sprawy, że służą życiu, które poprzez ich procesy umysłowe ustalały swoją równowagę – nie zdawały sobie sprawy niewątpliwie tylko do pewnego stopnia. Z biegiem czasu jednak niezależność od jakiegokolwiek życia, które jest zawsze alogiczne, – zawsze zacieśnia, określa, – stała się podstawą, ale teraz krytyka przeanalizowała i wywróciła na nice to złudzenie. Fakty myślowe są płodne poprzez życie; by być płodnymi, fakty myślowe muszą należeć i to w pewien specyficzny sposób należeć do życia, przynajmniej już zdolnego istnieć. Stąd problemy higieny osobistej u Nietzschego, higieny dziejowej u Maurrasa, ale tacy ludzie jak S o r e l, nie poprzestają na trwaniu (właściwie i Nietzsche nie), – ale tu mi nie idzie o ścisłość w tym kierunku. Musi on dążyć do tworzenia faktów myślowych, które sprzyjają tworzeniu się zespołów życiowych, zdolnych żyć i zwyciężać, a zgodnych z jego zasadniczym postulatem. Ten postulat może być w bezpośredniej sprzeczności, lub tylko inkongruencji z faktami myślowymi, które na razie tworzymy. Konsystencja i konsekwencja logiczna zostają tu zabezpieczone w innej drodze. Jest to, co St. Mendelson nazywa słusznie machiawelizmem Sorela. Jednak jest to rozumny człowiek, ktoś, kogo nie można porównać z tym całym światem Perlów, Konów, Kulczyckich, Haeckerów, którzy umysłowo są bankrutami i w znacznej mierze idą do stronnictw skrajnych, jako tych, w których niewiedza, niechęć myślenia, niechlujstwo kulturalne uchodzić mogą za protest.

Jedyny Blake ze swoim: >>abstrakcyjne myśli należą do oszustów<<!

Jest ciekawe, jak istotnie zawiera w sobie Blake cały program wieku. Irzykowski znowu będzie się irytował, ale Irzykowski uważa za metodę destrukcję logiczną lub nawet wprost myślową.

Jest to nazbyt ogólne stanowisko; ważne jest to, co stawia opór spójności myślowej i jedności perspektywicznej, co nie daje się objąć w jednym i tym samym planie.

To może być nawet wielki punkt widzenia, ale musi płynąć z bogactwa życia, z nadmiaru szczegółów, faktów, konkretnych danych i wartości. U Hebbła tak być mogło do pewnego stopnia, ale Irzykowski nieraz utożsamia dwie różne rzeczy: 1) proces jest tak bogaty, że z krzywdą swoją zostaje zamknięty. To nieuniknione i słuszne. 2) I proces nie zaczyna się, ponieważ brak mu momentów, sprzeczności między nimi, dyalektycznego obrotu kół i promieni. Tak u Irzykowskiego – dlatego jego twórczość jest kompromitacją jego programu i dlatego pomimo wszystko, on musi trzymać się racjonalizmu, bo w jego skrofulach jest pokusa mistycyzmu podrzędnego stopnia. Nie można zastąpić braku życia żadną formułą, ale też brakiem formuły załatać się to nie da.

To jest właśnie moment dramatyczny. Ważny jest tylko proces życiowy. Nic go nie zastąpi. Ale czym jest on? Tu wracamy do punktu wyjścia, do pokrewieństwa: Nietzsche, Sorel, Maurras, ale i Laforgue, Barres, Irzykowski – ale i Browning.

Meredith – doznaję wrażenia, że to inna sprawa: prawie jak u Goethego, i choć mniej demonicznie skalista, mniej uniwersalna, świeższa i szczerza to forma. Jak określić?... Dość łatwo. W każdym punkcie i w każdym momencie, w każdym drobnym szczególe postępować w myśl nie obniżania poziomu, nie powracania do żadnej sytuacji poprzedniej, lecz żyć czynnie i pogodnie, poza typem, nie t worzą c a p oka lip s y. Nie jestem w stanie nie przyznać, że pomimo wszystko, co czują, tak piękni ludzie, jak drogi mój Witold Klinger, (daj Boże mu szczęścia i natchnienia, światło niech będzie zawsze w jego myśli, a ciepło nie opuszcza jego serca), —M e r e d i t h b y ł g ł ę b s z y m , bardziej religijnym, bardziej po myśli Bożej człowiekiem, niż Tołstoj.

Tak jest, i nie powinienem tracić tej wiary. W niej własna moja uczciwość umysłowa, nadzieja światła i zdrowia.

Mój Boże! Mój Boże! Cztery tomy Mereditha po 9 franków – 36 fr., kiedy zdobędę się na to, by to mieć – a to jest przeszkodą, przecież pisałbym o nim i napisał; – ale moje stanowisko jest tak *à part*, tak ani mazowieckiej, ani krakowskiej, tem mniej już łyczakowsko-holzapflowski natury, że tylko surowa i bezwzględna ścisłość i zupełność informacji mogą i muszą zapewnić posłuch dla mojego zdania.

Ale pomimo wszystko, jesteś winien, ty sam tysiąc razy, bo nic umiesz wyrzec się zainteresowań nie w porę.

Cierp więc i módl się: to jest: myśl ze spokojem o prawach.

O prawach, które, gdy są ogarnięte spokojnie, są już pod tobą – i wtedy świat istotnie staje się twojem wielkiem ciałem, organizmem twojego życia i dusza twoja, skoro tylko zdoła czynną być poza typem, a odważnie, porusza rzeczy globu.

G a u l t i e r więc tu zbliża się ze swą *Ironie universelle* i może *Bowaryzmem*, ale tylko Meredith żyje w tem powietrzu, w tych gwiazdach i na tym szczycie.

25. XII.

W książce Dawida ważne są dla mnie te stronicę, gdzie ukazuje on, że moc, zdolność, siła wykonania, stanowią właściwą podstawę, naturę naszej świadomej woli. Pozostaje to w związku z uwagami poprzednimi, ale ma także znaczenie dla mojej teoryo-poznawczej analizy pracy. Ma znaczenie i dla innych jeszcze zagadnień i spraw. Np. wciąż jeszcze mnie irytuje błazeńska uwaga Feldmana o mojej analizie teatru Wyspiańskiego. Idzie tu o tego rodzaju związek. Taki W F. bezwzględnie na czuje rzeczywistości faktów duchowych, t. j. nie zdaje sobie sprawy, że wypełniają one równie szczelnie pewne granice, jak fakty, zwane materialne. Są, czem są, czem jedynie mogą być – pewną sumą w pewien sposób, a więc nie w inny, zorganizowanego, zużytego życia. Brak mi tu terminologii, choć tak dawno już myślałem o tych przedmiotach.

H e g l i z m. Jest zasadniczą prawdą heglizmu to, że ujmuje on w sposób a b s t r a k c y j – n i e a p r i o r y c z n y pewne elementarne i głębokie momenty istnienia ludzkiego. Irzykowski, gdyby nie poprzedzał na uprzedzeniach fragmentarycznych, musiałby to zrozumieć. Zarzuca on heglizmowi to, że całe życie ludzkie przedstawione jest w tym układzie myśli, jako pewien samo-realizujący się i samo-stwarzający się właściwie plan. Zwróćmy jednak uwagę na następujące fakty. Każda postać życia, każda postać działalności ludzkiej, staje się warunkiem określającym wszystkie inne fakty życia; będą one odtąd musiały rozwijać się, mieć miejsce nawet, jeżeli nie pod jej wpływem, to w każdym razie w jej obecności. Każda postać działalności, każda forma życia, każdy fakt życia staje się momentem wszystkich innych. Gdy teraz zważymy, że pośród tych wszystkich innych są fakty różnych stałości, ciągłości, zdolności trwania, przekazywania zdobyczy, zaborczości,

utrwalania się – spostrzeżemy, że mamy w nich coś bardzo analogicznego do ustalającej się dynamicznie jedności rozwoju. Wreszcie: każdy fakt życiowy staje się momentem wszystkich innych, nawet gdy istnieje między nimi sprzeczność, jeden i drugi są w tej samej naturze ludzkiej i ta musi od pierwszego przejść do drugiego, ale pierwszy (szematyzujemy tu) – określał ją, był nią, ma teraz ona określać samą siebie w kierunku drugiego. – Ona jest materiałem tego drugiego, sumą jego szans, ale ona była określona przez pierwszy, więc właściwie każdy stosunek negatywny, musi ustąpić pozytywnemu – jest jego postacią: i dlatego pomimo różnice, niema różnicy między rozumem i rzeczywistością.

K a t o l i c y z m. Jeszcze więcej prawd tego rodzaju. Bóg wszechobecny: każdy fakt życia najbardziej przelotny, określa życie, jest niem raz na zawsze, więc jest utwalony w tem, co w zestawieniu z jednostką, z chwilą jest trwaniem, pewnym sensem trwania i nie tylko czasem, ale źródłem samego czasu: samą potęgą życia ludzkiego. Więc żyjąc, musimy mieć tę prawdę przed oczyma.

S p o w i e d ź. Nie ja sam rozstrzygam, gdy ż ja jestem zawsze tylko pewną postacią życia, ale właśnie samo życie – przypadkowość księdza jest tu równoważnikiem nieskończonej wielorakości gatunku. Spowiedź przedśmiertna – ostatnie słowo, jakby z samym gatunkiem ludzkim. **P i e k ł o,** jako idea: niezniszczalność czynów. Może nawet jeszcze głębiej: **b e z p o w r o t n o ś ć** do łączności z ludzkością po pewnych czynach, z bezwzględnej izolacji zła bezwzględnego. Trójca – wytłómaczyłem w *Ideach*: zerwanie z antropomorfizmem, dogmatyzmem, jedyna forma czucia życia, jako życia, t. j.: jako czegoś, co w każdej chwili ma być, co nie jest i nie może być w żadnym pojęciu zamknięte.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby można było,—gdyby sam katolicyzm nie sprzeciwiał się takiemu zakreśleniu granic,—traktować katolicyzm jako wyłącznie ludzkie dzieło, trzeba byłoby przyznać, że zawiera on sumę najgłębszych, najszerszych i najbogatszych prawd, że jest niezwalczony.

Nie może być porównania pomiędzy nim, jako filozofią, a jakąkolwiek inną.

Ale katolicyzm występuje nie jako filozofia, nie jako nauka nawet o nadprzyrodzonym, lecz jako **n a d p r z y r o d z o n y , n a d l u d z k i f a k t.**

Plemię papuzie! Do obrzydliwości powtarzane frazesy o nadczłowieku – tu stoi przed wami rzecz żywa i mówi w każdej chwili: jesteście czemś więcej, niż tem, co wy uważacie za człowieka a nawet za nadczłowieka.

Nie każe nam poprzestawać na teorii, ale tworzy nadludzkie fakty, bo wierzący: Newman, Pascal, Bernard, setki tysięcy innych **ż y j ą i ż y l i** w dziedzinie niemożliwości dla nich zniszczonej.

To samo tu twarde prawo. Jest się lub nie jest. Ma się lub nie ma w sobie tego życia i takiego życia.

Francja XVII wieku, nieustannie powraca w moich myślach. Dlaczego? Być może w znacznej mierze dlatego, że jest to napewno świat inny od wszystkiego tego, co dzisiaj naszą inteligencję zajmuje, że tu a priori jestem już zabezpieczony: mógłbym odpocząć. Nie potrzebowałbym zwalczać pokus polemicznych, nie byłoby ich. Być może, także instynkt trafnie mi mówi, że jest to przedmiot nie przekraczający zasadniczo moich zdolności. Myśl, racjonalizm, logika, analiza, dedukcja, kompozycja myślowa tu przemagają. Namietność jest opanowana, jest jednak. Może też i *vis medicatrix naturae*: przedmiot ten stałby się dla mnie leczniczą szkołą myśli. Musiałbym znowu wrócić do dawnych nałogów myśli, gdy byłem jeszcze niewprawnym, naiwnym, ale sumienniejszym, niż kiedykolwiek, pisarzem. W *Ideach* spłaciłem dług wdzięczności Przybyszewskiemu, – może więcej niż to: uległem pokusie sentymentu i patosu stylowego, – może także pewne powiedzenie M.

Limanowskiego popchnęło mnie. W każdym razie ta sprawa ma i inne strony. Niewątpliwie Przybyszewski był tem dla mojej filozoficznej walki z sobą, com powiedział. Można przypuszczać, że i bez niego miałyby miejsce zasadniczo to samo. Miałyby, – tu zaś tak właśnie rzeczy miały miejsce. – Nie było bez niego, lecz z nim, ale, powtarzam: było i co innego. Jeżeli na filozofa miał on wpływ ożywiający – to pisarzowi w wielu względach zaszkodził: zanadto przejąłem się myślą, że pisanie, tworzenie, jest to wyrażanie siebie, nie zaś tworzenie jasnych i zdolnych trwać w słowie przedmiotów myślowych. Taine, który przed okresem Przybyszewszczyzny był moim mistrzem w pisarstwie, niewątpliwie utrwalił we mnie pojęcie pisarstwa o tym właśnie charakterze. Prawda, umiałem na razie tworzyć tylko przedmioty a la Taine, ale byłbym się wyzbył tej ograniczoności. Natomiast na cały szereg lat, aż po te dni ostatnie, utraciłem z oczu wogóle te perspektywy, cele wysiłku pisarskiego. Przedmiot przestał być kategorią w mem pisaniu, tak, jak nie jest on nią dzisiaj u żadnego wybitniejszego pisarza polskiego młodszej generacji. Tylko Reymont, Sieroszewski, szczególnie ten ostatni, mogą być rozważani z tego punktu widzenia. Biedny i pomimo wszystko szlachetny jako umysł, i silny jako tendencja artystyczna J. A. Kisielewski, miał wycucie swojej odrębności, ale miał za mało siły moralnej, by dojść do całkowitego rozumienia, zbyt łatwo wierzył, że dość jest powiedzieć: »ja jestem klasykiem«, że dość jest chcieć być klasykiem!

Wydaje mi się niewątpliwem, że dla zrozumienia romantyzmu XIX stulecia, trzeba znać dobrze kulturę XVII stulecia, a następnie już z niesłychaną przenikliwością badać kulturę XVII stulecia fakt po fakcie, pozbywszy się przedtem wiary w uznawane i ustalone, otoczone rozgłosem konstrukcje. Trzeba też – o ile wogóle nie uda się zniweczyć naukowo samego tego terminu romantyzm, – wyodrębnić r o m a n t y z m XIX stulecia od form pokrewnych, które są, lub też nie są zazwyczaj oznaczone przez to miano. Taka Zofia Nałkowska, osoba, która gdyby chciała się uczyć, gdyby знаła fakty i gdyby naturalnie zdobyła się na odwagę odzyskiwania powolnego sumiennosci intelektualnej, będzie naprawdę wierzyć, że W. Feldman wie wogóle, o c z e m mówi, gdy rzuca ona na los szczęścia swoje >>ale<<, >>a przecież<< ex re moich usiłowań stworzenia klasyfikacji romantyzmu. Niewątpliwie, że to odbiera chęć do pracy.

Romantyzm dla W. F. dla Z. N., dla całej poczciwej polskiej publiczności, to sprawa prosta: od *Obermana* do Micheleta, od Hoffmanna do Stendhala, od Mérimée'go do Leroux lub Novalisa, od Fr. Schlegla do Gautiera, od Mickiewicza do Murgera, od Mazziniego do Heinego, od Baudelaire'a do Carlyle'a, od Słowackiego do Feuerbacha, i od Shelleya do Kl. Brentana – to dla nich wszystko proste i łatwe do ujęcia. Dźwięki raczej niż słowa, rzeczy całkiem nieobecne. Ileż tu odcieni rzuca się w oczy przy pierwszym objęciu wzrokiem niedokładnie znanej, a więc uboższej, mniej różnorodnej wielorakości.

Romantycy – to ludzie, którzy wierzą, że ich ja, ich sposób czucia jest sprawdzianem zasadniczym.

Ale jakiego czucia?

Co znaczy być sprawdzianem?

Byron poprzestaje na swoim czuciu. Novalis z niego wysnuwa świat. Nie zdołam dzisiaj mówić o tem. Z umysłu chcę się powstrzymywać od zapisywania obecnie myśli ogólnych. Gdybym mógł, gdybym mógł kształcić się tylko przez rok, przez jeden tylko rok, nie teoretyzowałbym wcale. Dla każdego pisarza romantycznego tworzyłbym odrębny kwestyonaryusz i potem dopiero szukał punktów zbieżności i przecięcia.

Mój Boże, mój Boże! dlaczego nie mogę pracować jakbym mógł, bo mógłbym. Zmieniłbym c h a r a k t e r polskiej literatury na całe pokolenia i byłbym szczęśliwy, ale muszę żyć w ciągłym braku książek i dręczyć się wyrzutami sumienia, gdy się kształcę za-

miast pisać. Teraz, przed 6 tygodniami, był mi potrzebny Moliere. S.. z Wiednia mieli go wysłać. To rzekomo kulturalni ludzie, mogliby wiedzieć, co to jest praca pisarza—ale Moliere ciągle jest w >>drodze<<. Czy przyjdzie? kiedy przyjdzie? Nie będę już miał dla niego moralnie miejsca w moim mikrokosmie, ale nie było przykładu, aby ktokolwiek z moich znajomych, przyjaciół, zwrócił uwagę na moje najusilniejsze prośby, gdy idzie o książki. Komu dziś może być potrzebny Moliere! Oczywiście, to mój kaprys. Czem jest Moliere z punktu widzenia >>wagneryanizmu<<. Gdybym miał siłę po temu, gdybym miał czas po temu, rozpocząłbym kampanię przeciwko hegemonii niemiecko-modernistycznych punktów widzenia w Polsce Ta mieszanina rococa i brutalności, bezdziejowości, pedantyzmu, braku smaku. Bo tu nie chodzi o Kanta, Hegla, Goethego, nie chodzi o niemiecką literaturę. Czy istnieje niemiecka kultura już teraz? Nie wiem i nie użyłem (?) tego wyrazu. Ale to, co przelewa się dzisiaj przez łyczakowskie, zwiedeńszczone, zberlinizowane głowy, nie jest ani niemiecką, ani kulturą. Goethe! E... znajduje, że proza Goethego jest źle pisana po niemiecku, i to szczerze. – Więc po co Moliere? Mój drogi Boże! Labruyere i Pascal, Montaigne i Moliere – jest przecież jeszcze ten świat. Możesz żyć z tymi ludźmi, jeszcze nie zaprzedał duszy dymiącemu się bezładowi sentymentów, zachcianek melodramatycznych, antropomorficznych, jeszcze czujesz i cenisz jasność !

Memento! Umacniaj stosunki z tym światem; wrośnij węń. Narzuć go samemu sobie i Polsce. Ten stan rzeczy trwać nie może. Szkoda Nałkowskiej.

Pamiętam minę Dawida, gdym mu mówił, że chcę pisać o S. T. Coleridge’u To luksus. Naturalnie. Literatura wogóle jest to luksus, jeśli się wierzy w politykę, ale literatura subtelnie, dokładnie z miłością znana literatura, to jedna z najniezawodniejszych dróg, prowadzących do wyzwolenia od brutalnie głupich i deprawujących zabobonów politycznych.

E... nie zadawałby tak bezwzględnie, zaraz, bez wahania i zwłoki pytania, co myślą koła postępowe, z jakich kół? gdyby literatura nie była dla niego wielkiem >>abstractum<<, gdzie krzyżują się mgliste możliwości. Wyobrażam sobie jak byłby zgorszony Dawid, gdybym chciał drukować za dawnych czasów w *Głosie* o Coleridge’u, albo o Lambie, albo o Ben Jonsonie, albo o Burtonie od *Melancholii* albo o T. Brownie.

Mój Boże, daj mi wytrwać!

Teraz niewątpliwie nawet najzacniejszy, drogi mój Ortwin, jest zły na mnie, że czas trawię i ja sam umiem patrzeć na siebie Jego oczami i jeszcze innymi, surowiej potępiającymi tę >>perwersję<<, jak mówi E. A. Poe, a przecież te moje zwłoki, nieprodukcyjne godziny, dni, tygodnie, to znowu rosnąca przyszłość moja. Musiałem nietylko odświeżyć duszę, ale ją i wypłatać – nietylko wywikłać ją, ale i zaopatrzyć w narzędzia, dodać odwagi. A tak mi ciężko i tak mi smutno.

Z kim jestem i dla kogo pracuję? Mój Boże drogi, daj mi tylko jasne przekonania w tym względzie: umacniam je sobie co wieczór, podmurowuję – rano splukały je już fale, piasek lotny schłonał i tylko śmiech, śmieszność, niezadowolenie, brak wiary w siebie.

Myślałem, że książka *B o s w e l l a* o Johnsonie przygnębi mnie, że ukaże mi niezmordowaność bajeczną, nie znającą słabości – ale drogi Boswell. Johnson żyje i będzie mi od-tąd towarzyszył. Pełen słabości, zwątpień, tak bardzo nie po dzisiejszemu blizki. Soczysta to była gleba, ten wiek XVIII, nie wstydziliśmy się jeszcze wtedy, że jesteśmy określonymi ludźmi, nie łączyliśmy zaniedbania, wystygłego cynizmu dla powszedniej rzeczywistości z dumą bezwzględnego *nie*, zbawcy, *nie*, >>czynnika ekonomicznego<< >>tendencji dyalektycznej<<, >>sprawa przyrody<<. Cała brutalność powstająca samorodnie i nieuchronnie w duszy żyjącej poza ciepłem zrośnięciem z pewną naiwną obyczajowością, w duszach nie znających ludzkiej strony religii, chociażby nawet boska nie należała do rzędu

omijanych i zwalczanych frazesem, – występuje w konsekwencji politycznej, nieubłagałości radykalizmu. Zaniedbany wewnętrznie, mało wrażliwy, nie znający przywiązań, nie ceniący i nie potrzebujący sztuki, posiada dużo zalet jako polityk. To są wartości w polityce, w dziennikarstwie, dlatego niema przymierza z tymi ludźmi. To klęska i szarańcza intelektualna, nieprzyjaciel prawdy zawsze subtelnej, sztuki zawsze bezinteresownej, filozofii, której obym umiał pozostać teraz już przynajmniej wierny.

Poezya B l a k e'a jest jednym z wyjątkowych wypadków w dziejach ducha ludzkiego. Trzeba tylko ufać własnemu entuzjazmowi, aby widzieć, że B l a k e jest nie tylko natchnionym narzędziem podmuchów nieskończoności, lecz jasnym i głęboko świadomym własnych celów umysłem. Jest to dziwna struktura, której plan, całość można widzieć jedynie w świetle błyskawicy, ale to jest u nas; u samego Blake'a moment spokoju, jasnej pewności odgrywał o wiele większą rolę. Bez wątpienia nie jest to umysł jasny według rozpowszechnionego typu planów i jasności, ale nie trzeba utożsamiać odczucia obcości, zdziwienia z naszej strony z brakiem stałych i świadomych własnych praw, pierwiastków w umyśle samego twórcy.

26. XII.

Krytycznie zastanawiając się nad życiem własnym moglibyśmy odnaleźć w nim moment, gdy przestaliśmy uważać życie nasze za wykonywanie pewnych obiektywnych obowiązków, naśladowanie pewnych obiektywnie istniejących wzorów i dorównywanie im i gdy zaczęła się organizować skłonność widzenia – we własnym naszym zwolnionym od tego rodzaju warunków, sprawdzianów ja: – punktu centralnego. Wiek XVIII był momentem takiego narastania kaprysów. W tym jest jego wdzięk i to trochę sztuczne, trochę pervers, kokieteryjne dzieciństwo, które jest tak pociągające dla pewnych umysłów. Mam tu na myśli XVIII wiek francuski.

Zaciekawia mnie coraz bardziej Wieland.

Powinienem jednak pamiętać, że moje wyobrażenia o XVIII stuleciu zostały uformowane niewątpliwie pod kształtującym wpływem epokowych charakterystyk *Fenomenologii* Heglowskiej, które działają na mnie tak silnie, że Sainte Beuve zgadza się z Heglem (*sans le savoir*) i naturalnie wspiera jego działalność w moim umyśle.

Pragnąłbym mieć już u siebie znów *Reflexions Sorela* i znów je przeczytać.

Lasserre tytułuje cały szereg rozdziałów swej książki: ruina – ruina jednostki, społeczeństwa. To pewna, że *La ruine de la Cité* tak mógłby być sformułowany charakter najogólniejszy i najbardziej zasadniczy myśli naszej. Ale nie zdajemy sobie z tego sprawy, a to właśnie ze względu na konsekwencję, z jaką katastrofy te się odbywają. Krytyka systematycznie i dogmatycznie oceniająca, wydaje się nam czemś nietylko dla nas niedostępnym ale i niemożliwym Unding; krytyka dzisiejsza, krytyka operująca tylko pojęciem przyczynowości, (że tak wyrażę jej rys podstawowy) filozoficznie jest cechą stanu rzeczy, w którym społeczeństwo moralnie nie istnieje w tej dziedzinie umysłowości, która zajmuje się krytycznym rozważaniem literatury i sztuki.

W *The Friend* S. T. Coleridge czyni uwagę, która zrazu wydała mi się nieco dziwną, chociaż od razu zrozumiałem, że jest w jakiejś mierze słuszna. W tej chwili jednak oświeciła mi się ona. Tak się dzieje z myślami, przypuszczam, że nie tylko u mnie (czytałem tę książkę i ten rozdział jakieś dwa miesiące temu). – Uwaga polega na następującym (mniej więcej) : tylko niejasne myśli stają się przedmiotem naszej czci, działają na uczucie i wolę i powinniśmy dążyć do wyjaśnienia wszystkich myśli, które mogą być całkowicie wyja-

śnione – aby w ten sposób mieć tylko czcigodne. Przyszła mi do głowy ta myśl z powodu zastanowienia nad tem, że często operujemy myślami, których nie analizujemy umyślnie w danem rozumowaniu, chcąc zabezpieczyć pewien charakter uczuciowy wynikowi. Np. bitwa, gdy idzie o Napoleona. Ale uwaga S. T. Coleridge’a przez się jest wielkiej doniosłości, zasługuje na to, by stać się jedną z trwałych metod, metodologicznych punktów widzenia w krytyce literatury i kultury.

Poezya i radość: Coleridge twierdzi, że *r a d o ś ć* jest pierwiastkiem zasadniczym w poezji, niema poezji bez radości; czy więc wszystko w życiu może być radością?—nie. Nie wynika to bynajmniej – ale uświadomienie może być radością, niezależnie od tego, co sobie uświadomiamy. I to może istotnie formułuje warunki poezji. Istnieje w S. T. Coleridge’u i dyonizyjski – mocny nawet ton, ale jak wszystko u niego lub prawie wszystko: zgębiony, jakby zepchnięty. Bo w tym dziwnym umyśle—miej się na baczności—myśli przeszkadzają sobie wzajemnie. Nie przez bogactwo. To paradoks, – ale przez brak woli dostatecznie wszechstronnej i głębokiej. Biedny Tomasz Quincey porównywał szczerze S. T. Coleridge’a z Goethem na niekorzyść tego ostatniego. Jak mało ma w świecie intelektualnym Goethe przyjaciół. Ojciec mój nie lubił go, ale myślę, że go nie znał. – Biedny mój ojciec – ofiara własnej szlacheteczyny, chaosu woli i myśli!

28. XII.

Niebezpieczeństwo przy czytaniu starych pisarzy polega na tem, że łatwo godzimy się z pewnem powierzchownym rozumieniem ich. Wystarcza nam, że wiemy, co chcieli oni powiedzieć i nie troszczymy się w jakim to stosunku zostaje do rzeczywistości. Odrazu przystępujemy do ich czytania z poczuciem historycznej odległości: nie uważamy ich za źródła aktualnego poznania. Jest bardzo trudno pozbyć się tego wyjąłwiającego czytanie uprzedzenia: nasza apercpcya jest odrazu tak subtelnie, głęboko ukształtowana przez to założenie, że wszystko, co nas dochodzi z tych książek, napotyka mniejszy opór, ale zarazem posiada mniejszą wagę. Dlatego też jest zupełnie prawdopodobnem, że gdy w życiu umysłowem jakiegoś człowieka przeważa ten typ czytania, zwolna wyrabia się w nim pewien niedostrzegalny już dla niego, a przenikający go nawskróś rys powierzchowności. Rys ten może udzielać się całemu życiu umysłowemu t. j. rozpostrzeć się i na te dziedziny, które nie są bezpośrednio z czytaniem związane. W ten sposób tłumaczyłbym psychologicznie różnicę pomiędzy historykiem literatury i krytykiem, i niewątpliwa rozbieżność w ich sposobie widzenia nawet wtedy gdy, jeden z nich wkracza w dziedzinę należącą właściwie do drugiego.

Na razie jednak uwaga ta przyszła mi na myśl przy czytaniu G. Bruna teorii platonickiego zachwytu pięknem. Piękno zrazu robi wrażenie, potem przetwarza i doprowadza do uczestnictwa w swej istocie. Jest niewątpliwą rzeczą przeciw, że mamy tu nietylko piękną myśl, ale i bezwzględnie: myśl mającą wartość poznawczą, prawdę.

29. XII.

Zasada Irzykowskiego nie zaniechania drobnych >>niearchitektonicznych<< przyczyn i tłumaczeń, posiada wielkie znaczenie metodologiczne. Weźmy n. p. historię filozofii – jest rzeczą niewątpliwą, że te pojęcia, które dzisiaj są dla nas szczytem wyszukania i dziwactwa prawie, ukazywały się pewnym ludziom w pewnym czasie, jako najprostszy, lub nawet jedyny opis rzeczywistości – były utożsamione z rzeczywistością. Gdybyśmy teraz szukali przyczyn tego *u t o ż s a m i e n i a*, strzedz się należałoby wysuwania na pierwszy plan wyłącznie tylko >>uroczystych<< motywów.

Pamiętam kiedy po raz pierwszy spotkałem się z nazwiskiem Samuela Johnsona. Kupiłem na rynku Niemirowskim (t. z. >>tołkucze<<) rosyjskie Tyblenowskie wydanie dzieł Macaulaya – brakowało w niem jednego tomu. Jeszcze teraz dość dobrze uprzytomniam sobie ogólne sympatyczne wrażenie pozostawione przez promieniejącą ciepłem postać Olivera Goldsmitha. Pamiętam, jaką aureolą otoczone były w mej wyobraźni te mansardy autorskie, w których żyli utrzymywani przez księgarzów jak biali niewolnicy pisarze angielscy XVIII wieku. Nie były to fałszywe uczucia, przeciwnie, powinny one być rozwijane we mnie. Pisarz powinien kochać swój zawód obyczajowo, powinien być zainteresowany tem wszystkim, co bytowo zrosnięte jest z jego sposobem życia. Nie zdaje mi się, aby na złe wyszło to pisarzom, którzy mieli tego rodzaju właśnie ciepłe, żywe przywiązanie do swego stanu; zdrowszy to o wiele nastroj (?)..... szerszy i głębszy, moralniejszy i właściwie trudniejszy do zrealizowania, niż abstrakcyjne idealizowanie misy i piarskiej. Uważam to za jeden z sympatyczniejszych dla mnie osobiście rysów mej własnej umysłowości, że posiadałem, – i pomimo niezliczonych fałszów, koturnowości i wykrzywień, które zeszcpecili me życie nie utraciłem go, – posiadam współczucie i szacunek dla tych właśnie pisarzy, którzy w ten sposób zdrowo i silnie czuli się w piarskiej skórze. Balzac i Walter Scott, Dostojewski, Carlyle – wielcy pracownicy pióra XVIII wieku, ale w mojem życiu przez długie lata wszystko było deptane, zacierane przez atmosferę domową, przesyconą sceptycyzmem, wygodnisiostwem materyalnym, brakiem jakiegokolwiek bądź dyscypliny. W tym właśnie roku, który teraz wspominam, pamiętam wieczory nieskończone przeciągające się, gdy ojciec zaciągał mnie i brata do gry w winta: pamiętam jego spojrzanie, z jakim krążył on koło mnie nielitościwie nie zważając czy czytam, piszę, nie zważając na to, że tak wymownie >>nie widziałem << jego zabiegów. Było mi go żal i nie mogłem się oprzeć: wyrzucałem sobie i to, że siadałem do gry, i to, że siadałem niechętnie. Pamiętam, w tym roku po raz pierwszy >>zrealizowałem<<, jak mówi Newman, co znaczy materyalizm i niewiara w nieśmiertelność duszy i już od 2 lat napastowały mnie wątpliwości – a właściwie silne ataki strachu i rozpacz związanych z przedmiotami religijnymi. Teraz już nie umiem wywołać ich z pamięci. Wiem jednak, że napewno cierpiałem, chociaż także napewno już wiedziałem, że byłoby to rzeczą interesującą cierpieć. Ale myślę, że było dużo szczerości i siły w tych przeżyciach. Zdaje mi się, że najsilniej uczuciowo doznawałem tych stanów latem między 15 a 16 rokiem mego życia, to jest zapewne w 1895—1894 roku. Wspomnienia, od których zacząłem, związane są z rokiem 1895. W tym roku niewątpliwie zapoznałem się do pewnego stopnia z Darwinem t. j. przeczytałem kilka rozdziałów z *Pochodzenia gatunków*. Zrozumiałem ogólną myśl i charakter jego stanowiska. Pierwszą silną konsekwencją, (choć dzisiaj nie umiem sobie zdać sprawy z przebiegu) było osłabienie uczuć patryotycznych – kosmopolityzm. Zdaje się, że nie mylę się, gdy sędzę, że i Stanisław Dybczyński, ten z moich kolegów, do którego pod pewnemi względami najmocniej byłem przywiązany, w ten sposób też przeżył pierwszą znajomość z darwinizmem. Darwinista stało się u nas kategorią towarzyską: klasyfikowaliśmy ludzi w myśl ich domniemanego stosunku do tej teoryi.

Myślę, że byłem zakochany w Dybczyńskim i teraz czytając dzienniki i listy Byrona doznawałem wrażenia niejednokrotnie, że znam ja przecież tego rodzaju dąsy i fochy myślowe. Dybczyński stoi mi przed oczami gdy myślę o Byronie. Sędzę, że był to istotnie niepospolity młodzieniec.

Ojciec mój raz jeden – biedaczysko – musiało to być w jednym z jego rozczuleń poobiednich – kupił mi za jakieś 40 rubli książek, jakie mu wepchnął księgarz – ale szkoda, że nie umiałem wtedy korzystać z tych książek jakie były w ojca mego zbiorze. Mogłem być z nich wynieść o wiele żywszą znajomość polskiej historii i literatury. Dziś skarbem byłby dla mnie Szajnocha, Siemieński, Bartoszewicz, Bobrzyński, Baliński, wówczas nie,

umiałem z tego korzystać. Nie umiałem w tym okresie wyczuć żadnego związku między Polską a moimi nowymi ideami. Przeciwnie: idee odprowadzały mnie coraz dalej od polskości i postępy mierzyłem tą odległością. Ale gdyby był ktoś naprawdę zainteresował się moimi myślami i troskami – może mógłby być pozyskać wpływ. Właściwie jako umysłem interesował się mną tylko mój nauczyciel rosyjskiej literatury, który i dzisiaj jeszcze podobno mnie wspomina – Filip Andrejewicz Werowski, – a także mam wrażenie, że o wiele wcześniej jakiś artystyczny interes musiałem wzbudzać w Wasyliwie, nauczycielu w Lublinie. Psychologia tego ostatniego zajmuje mnie teraz często; myślę, że gdybym miał wytrwałość – zaczynam wierzyć, że mam pomimo niegodziwego wychowania i rabunkowej gospodarki – więcej talentu, niż skłonny byłbym ostatnio mniemać i to może właśnie powieściopisarskiego a raczej duszotwórczego a la R. Browning talentu – mógłbym z tej postaci stworzyć coś trwałego. Nawiasem : Browning, niewątpliwie on jest mi bliski. Daj mi Boże siły i wytrwania, pozwól nie myśleć o drobnych ukłuciacz, o braku sympatii, o gorzkiej samotności, a może przecież zrobię coś jeszcze, co w moich własnych oczach da mi trwałe zadowolenie, nie chwiejne poczucie siły to znowu zupełne unicestwienie dumy.

Browning, Blake, Hegel, przecież c z u j ę , a nawet wiem, że mam o tych ludziach dużo do powiedzenia, że ich znam, że są to dla mnie ż y w i l u d z i e . Lemański! Krytyk też jest twórcą. Głęboko stwarza swój świat – ale u nas za dużo jest krytyki. Wiem, że mam mnóstwo braków – ale przecież nie może być mojem złudzeniem, że jako pisarz-myśliciel, nigdy nie jestem zasadniczo w złej wierze. To nie może nie być wyczuwane. Gdybym mógł rok czasu przeżyć, mając wszystkie książki, jakichbym pragnął i spokój, nie napisałbym może dużo, ale napisałbym jakieś kilkadziesiąt stronic, które dałyby moją miarę.

Wstydz się. Wstydz się naprawdę. Ale taka jest prawda: długo i bardzo, śmiesznie długo ją trzy się we mnie każdy dowód złej woli wobec moich pism – i to chyba nie jest złudzenie, chociaż przemawia to na moją korzyść, że boli mię to właściwie, co godzi w moją filozofię i krytykę, t. j. to, o czym wiem napewno, że jest prawdą. Chciałbym być pewnym tego uczucia, byłoby to zdrowie na dnie słabości, ale nigdy nie można wycuciem tego rodzaju ufać.

Bo nigdy nie prowadzi do dobrego tego rodzaju zgłębianie: myśleć tylko o zdrowiu, o jego prawach, zatapiać się myślą w surowe prawa zdrowia myślowego i życiowego: ambicja nie da się stłumić, powinno się ją wyzyskać w tym kierunku. Nie zaszkodzi cieszyć się ze słabych chociaż oznak zdrowia, jeżeli się ma o tem ostatniem pojęcie prawdziwe. Nie trzeba się bać tego rodzaju wewnętrznego snobizmu. Pani czy panna How, czy Hove, miała rację: Chesterton ma przykrą manierę, ale mówi on nieraz w formie paradoksów, rzeczy głębokiej prawdy. Teraz myślę o jego obrazie próżności w zestawieniu z dumą.

S n o b i z m e m jest teraz znaczna część mojego zadowolenia z czytania Ben Jonsona – ale nim dojdę do końca I. tomu, niewątpliwie będę miał już głębsze i uczciwsze związki i zainteresowania w jego świecie.

30. XII.

Czy Byron tylko pozował, przeciwstawiając P o p e' a swojej generacji poetów? Aby na to pytanie odpowiedzieć – trzeba przedewszystkiem znać Pope'a, a znać, nie znaczy to czytać, jak miałem to niedawno sposobność zanotować w tym dzienniku, pisząc o historycznym i krytycznym sposobie czytania. Wogóle pewien pseudoklasycyzm i banicya umysłowa związane z nim, ustąpić muszą i ustępują wszędzie prócz głów niedobitków radykalizmu jeszcze pasożytujących na naszej nędzy. Kogo n. p. dziś obchodzi, czy Swift był pseudo-klasycykiem. Z prawdziwą niecierpliwością czekam chwili, gdy w *Everymans Library* zostanie wydrukowana i stanie się przez to dostępna dla mnie proza krytyczna D r

y d e n a. Szczególniej, właśnie pewna grupa umysłów, pisarzy pozostających niejako na pograniczu, jak Dryden, jak Monti nawet, nie mówiąc już o Alfierim, bezwzględnie stawiają w mej myśli opór przeciwko szematycznemu klasyfikowaniu i przechodzeniu do porządku. Więc i Pope. Ale pomijam już to, pomijam, że powinniśmy nauczyć się odnajdywania osobistości poza przedmiotowymi nieosobistymi sposobami wypowiedzania. Przecież taki Swift, poprostu wibruje namiętnością, przeraża skoncentrowaniem i intensywnością osobistości. Jakim przepysznym okazem ludzkiej natury, jaką wspaniałą indywidualnością jest Dr. S. Johnson, dzięki nieocenionemu Boswellowi, który w rzeczy samej ma prawo do mojej przynajmniej wdzięczności, nie o wiele mniejsze niż Saint-Simon – mówię o *ducu*,—jak Cellini, Gozzi, i w każdym razie, choć zdała tegoż rzędu co Balzac. Ale tu o Byronie. Otóż: czy Byron był w tem samym znaczeniu romantykiem, co np. Shelley, lub Coleridge. Nie. Shelley jest blizki Coleridge'owi. Byron prawie całkowicie obcy. Również Blake'owi. Byłoby dobrze doprowadzić do jasności to określenie romantyzmu, które teraz zarysowało się którejś nocy w moim umyśle. Ma ono analogię z Paterowskim – ale jest inne. Jest inne, ponieważ kwestyonuje w tych punktach, które dla Patera były stałe. Pater podkreśla interes treści, pierwiastek ciekawości, jako moment rozstrzygający. Sądzę, że intelektualizuje on. Nie w tym stopniu, w jakim mogą mniemać ludzie nie zdający sobie sprawy z tego, jak życiowym, w jakie doświadczenia wnikającym jest intelektualizm Paterowski, co dla niego jest faktem, elementem doświadczenia. Niewątpliwie faktami są dla niego, nie tracąc swego żaru, swej chemicznej, silnie działającej na duszę natury, takie przeżycia, jak tęsknoty moralne, nostalgje, wartości poznawcze prawdy, dążenie do niej: wszystko t o w charakterze przeżycia jest zarazem faktem i to połączenie bardzo silnej osobistej kultury wzruszeniowej z tego rodzaju stanowiskiem sprawia, że styl Patera jest tak malaryczny, że są w nim dreszcze, gorączka pod skórą, błogie pragnienie, niepokojąca duszna rozkosz – słowem, że wszystko tu jest po wierzchu i tylko myślą, w głębi jest to świat chory, gorączkowy, okrutny i zły. Jest tu niewątpliwy dla mnie ten pierwiastek. Benson (biograf W. P.), i zdaje się Shadwell nie umieli ocenić portretu Witteau, nie chcieli zrozumieć. Tu już prawie Dostojewszczyzną pachnie. Istnieje tu sadyzm dziwnej odmiany: w odbarwianiu z krwi i wzruszenia postaci tej, która pisze. Potem *Sebastyan Storck*. W o gole jest to serya, którą trzeba analizować inaczej pamiętając Dostojewskim lub chociażby o B a u d e l a i r z e. Chciałem wymienić Nietzschego, ale postanowiłem unikać go, póki nie poddam się nowej konfrontacji z jego pismami. Jestem w fazie umyślnego, ale pozornie tylko umyślnego krytycyzmu wobec niego. To zjawisko pozornej umyślności jest dla mnie charakterystyczne zanalizowałem je w jakimś fragmencie *Starej kobiety*, ale właśnie jako nazbyt i całkowicie osobisty, będzie on usunięty. Szczere dążenia i uczucia występują, jako udane i jako takie, zyskują władzę, dostęp, legitymację wewnętrzną. Więc, gdy Pater mówi o ciekawości pomnażającej świat treściowo, ma on na względzie i te treści, które zazwyczaj uważane są za coś o tyle głębszego od ciekawości, że gdy tu następuje zmiana, niema czasu i siły psychicznie myśleć, że tu jest coś nowego jako fakt, jako poznanie, bo zmienia się nie-tylko poznanie, ale sam poznający. Ale Pater chciał ż y ć w znaczeniu Baudelairowskim, dajmy na to – i to w sutanie (?) Spinozy. Jak to się może przedstawić ? (Strzedz się Mereżkowszczyzny).

Otóż romantyzmem jest dla mnie twórczość zainteresowująca przeważnie tożsamość twórcy: klasycyzm nie kwestyonuje tej tożsamości.

Z tego punktu widzenia B y r o ñ wyrażał stan duszy. umożliwiający romantyzm – kwestyonował to, co stawiało opór indywidualnym procesom i nadawało raz na zawsze określone znaczenie życiu ludzkiemu – ale poza t c m, samego procesu romantycznego, twórczości zmieniającej w nim samą treść człowieka, życie ludzkie, n i e można odnaleźć w tem znaczeniu co np. u Blake'a, Coleridge'a, nawet Wordswortha, nawet Lam ba. Romantycznym był jego temat, on sam, ale twórczość jego podobniejsza była do procesów

umysłowych Pope'a, Montiego, Alfierego, potem Włochów XVI stulecia, niż do współczesnych. C o myśleć o tem powiedzeniu Norwidowskiem: Sokrates poetów? Nie pozwolić, by w umyśle moim N o r w i d stał się martwą, frazeologiczną fikcją. Analizować. Tu jest obecnie jedno z dojrzałych moich zadań.

31. XII.

Z pewnością mylnie dotąd układałem plany opracowania Newmana, mylnie, gdyż – zawsze ulegam instynktownie działającym a zakorzenionym, gdyż wyrobionym przez nieustanne spostrzeżenia dnia powszedniego, przez cały tryb polskiego życia – pojęciom o życiu. Chrześcijaństwo, katolicyzm, kościół; religia, są w naszym życiu obecnem sprawami istniejącymi bezwzględnie na zewnątrz literatury, filozofii, nauki, wszystkiego, co stanowi kulturę. Możemy mówić o stosunkach kultury do chrześcijaństwa, kościoła etc. – ale gdy mamy do czynienia z typami życia, w których związek ten jest organiczny, gdy mamy do czynienia z typami, w których zostaje realizowana cała potężna idea chrześcijaństwa, kościoła, jest to dla nas świat, w którym nie umiemy się oryentować. Newman uważał kościół za sumę życia ludzkości, z niego brało źródło wszystko, co jest życiem, wszystko co jest człowiekiem. Kościół był jego definicyą człowieka, gdyż tylko fakt kościoła odpowiadał mu na pytanie: czem jest człowiek we wszechświecie, jak możliwem jest coś takiego, jak życie ludzkie. To też gdy w moim artykule – dopiero w 2–3 miesiące po przeczytaniu go nauczyłem się go cenić, – i jeżeli jest słuszne, jak myślę, że tego rodzaju powolne dojrzwianie myśli, wrażeń, jest cechą rzetelności myśli, – Newman w stosunku do mnie, działa zawsze w ten sposób. Nie zdaję sobie sprawy przy czytaniu, co zachodzi we mnie, a nawet, że coś zachodzi, ale po długim czasie odnajduję w sobie myśli, które dopiero po analizie i zastanowieniu, wykazują swój rodowód z dzieł Newmana. Nie jest to już powierzchowne życzenie mieć i znać Newmana w zupełności. Teraz już wiem, że gdy dyskutuje on o kwestyach angielskiej organizacji kościelnej, angielskiego życia umysłowego, to nie zmienia to nic w tej niezawodnej prawdzie, że właściwie zajmuje się on tylko w sposób dojrzały, wyrobiony, a więc subtelnie konkretny – całkowitem zagadnieniem człowieka. Teraz więc już nie jestem w stanie traktować poezyi Newmana, ani tych jego pism o kulturze uniwersyteckiej, których nie znam, jako czegoś przypadkowego. Myślę, że strasznie skrzywdziłbym ten umysł. Kościół był dla niego prawem życia umysłu ludzkiego, ale nie będzie rzeczą słuszną przedstawić samą tylko jego pracę nad wyjaśnieniem i upodstawianiem tego prawa, pomijając jego wyniki, przykłady jego chrześcijańskiej kultury in concreto. Także trzeba zająć się jego studyum o Cyceronie.

B. B. i jego T. z pogardą mówili o Cyceronie. Ile potrzeba czasu, by zrozumieć, jak trudną, rzadką, jak głęboko ważną i jak przedziwnie moralną rzeczą jest >>urbanité<< wytworna uprzejmość myśli. Newman wiedział, że chrześcijaństwo ze swoim >>moi est haissable<< obcinaniem dzikich pędów starego Adama, jest w gruncie rzeczy attyckie, humanistyczne; chrześcijaństwo, a przynajmniej k a t o l i c y z m jest najrzetelniejszą, o wiele rzetelniejszą i o wiele zupełniejszą, niż renesans spuścizną klasycznej starożytności. Ile głupstw i to głupstw, które stają się nietykalnemi, obarcza umysły nasze. Lemański jednak będzie i nadal wyrzekał na krytykę, uważał ją za zbytę, szkodliwą, nieplodną.

Trzeba, nie odkładając, zacząć czytać *Pastora* i o ile się da, Sarpiego i Pallaviciniego. Trzeba zdobyć prawa zabrania głosu w tej sprawie, najważniejszej dzisiaj może dla nas.

Przy przerzucaniu zapisanych kartek, wpadło mi w oko nazwisko Michajłowskiego; jak pięknie byłem młodym, gdym go czytał. Nie zmieni już nic tego faktu, że dużo najświeższych moich wzruszeń, najmłodszych, najszczerzych moich myśli, zrosło się z temi na-

zwiskami. Zresztą krzywdzimy tych ludzi. Pisarew wart jest nie mniej, niż Stirner, zapewne dużo więcej. Michajłowskiego można czytać obok Proudhona, Carlyle'a. Bieliński, Dobrolubow, Czernyszewski, mniej niewątpliwie genialni, mniej świetni myślowo (może teraz krzywdzę Bielińskiego), nie mniej zasługują na uwagę i studia, niż essayiści angielscy lub francuscy. A drogi mój Gleb Uspieński. Stałoby się to z krzywdą mej duszy, gdybym dał ich steroryzować i zapomniał o tych pierwszych moich nauczycielach. Pamiętam jeszcze wrażenie przy czytaniu *Ojców i Dzieci* Turgeniewa. Co za książka! Nie znam rzeczy tak harmonijnie tragicznej i ludzkiej w literaturze tego rodzaju. Ale wtedy, w 15-m roku, wydawało mi się, że po raz pierwszy spotkałem się z mową dorosłych ludzi. *The brain*, jak mówi Meredith, – po raz pierwszy spotkałem się z tym żywiołem we mnie, w czytaniu. Dotąd myśl, to było coś, czego ja nie znajdowałem sam przez się w sobie, coś uroczystego, nudnego i pokornie znosiłem ten stan rzeczy. Nagle książka z myślą, która mówiła to właśnie, co mnie interesowało, poruszała się we mnie i poza mną jednocześnie. Potem *Zbrodnia i kara*; nie wierzyłem oczom, że to jest napisane, że mogą istnieć stronicie tak przyspieszające sam proces wewnętrznego istnienia. Zdaje się, że nie zrozumiałem *Idyoty*, ani *Biesów* ani *Podrostka*. *Karamazowych* nie mogłem dokończyć. Ale „Преступление и наказание” umiałem czytać ze 20 razy i wiem, że byłem zaczął czytać którąkolwiek książkę tego pisarza, już jej nie rzucę – póki jej nie pochłonę całej zawsze z gorączką wewnętrzną, poruszeniem całej istoty, zawsze odnajdując, że ci ludzie się znów zmienili, że zmieniły się akcenty ich mowy. Balzac ma podobną władzę nademną, ale nie w tym stopniu; myślę nawet, że Dickens mógłby pozyskać najprędzej wpływ równie silny i teraz będę miał sposobność się o tem przekonać. Nieodwołalnie postanowiłem przestudyować gruntownie wszystko, co on napisał. Sądzę także, że byłem się zmusił, W. Scott może mi dać dużo szczęścia, zdrowia duchowego i zadowolenia – ale trzeba mieć te książki. Saint-Simona chcę czytać i pewno będę. Są w Polsce ludzie, mający 25—30 lat i sądzący, że znają dobrze, nawet świetnie literaturę. Czytam Hoffmana, obok dwóch Johnsonów, (właściwie Ben był bez h).

B r u n o: – był on na szczęście głębszy, niż popularny przesąd go przedstawia; w istocie, był on przecież platonikiem, idealistą – wierzył w ducha, w żadnym razie nie prekursor Haeckla i wszystkich tych chamów masonery i niewiary.

Nie wiem, jak jest w malarstwie, muzyce, innych gałęziach twórczości – wiem jak jest w literaturze – w tych wszystkich formach, które tworzą w słowie. Tu zależność od epoki, związek z nią, są przerażająco subtelne, wnikają w najwęższe rozgałęzienia, w sieci całkiem niedostrzegalnych żyłek i tkanek. Irzykowski! Nie chce on widzieć poprostu faktów. Gdy chcemy tworzyć w słowie, ukazuje się ono nam zawsze, jako to, czem jest ono w znanym nam społeczeństwie. – Słowo ma znaczenie wynikające z życia, jakie nas otacza i gdy chcemy nadać mu znaczenie obce, odmienne, nie spotykane w tem życiu, jest to praca prawie nadludzka, może niewykonalna. Twarda to i oporna materya. Znaczenie >>słowa<< wrasta w nas przez sam proces życia – jest ono tem dla nas, czem je to życie uczyniło. Proszę: spróbujcie napisać teraz komedję à la Ben Jonson, dramat à la Massinger, à la Racine, o i l e jesteście głębokim i szczerym człowiekiem, nie zdołacie stworzyć nawet zadawalającego pozoru. Łatwą rzeczą byłoby życie, gdybyśmy mogli być tak vogelfrei. Niestety, zastajemy istotnie świat, zastajemy siebie, ale w innem znaczeniu, niż to Avenarius przedstawia. Człowiek kulturalny nie może nauczyć się myśleć biologicznie o swoim życiu, o samym sobie, jako o czemś nietylko poważnem, ale niezmiernie rzeczywistem, w sensie, jaki uwydatnić chce J. H. N., gdy mówi, że ma tylko siebie i nie może siebie odrzucić, bo nie miałby czem zastąpić. On sam już niewątpliwie rozszerzał to i na życie zbiorowe (tekst, w którym mówi on o wyrzekaniu na swoją epokę, jako słabości), i trzeba się przeniknąć tą myślą, a jest trudno ją nawet dobrze zrozumieć: – że nie możemy odrzucić

swojej epoki, nie możemy odrzucić historii – historii ludzkości, jako ostatniego i najgłębszego dzieła, gdyż nie mielibyśmy ich czym zastąpić. To tylko ma człowiek. S ł o w o nie ma absolutnych pozahistorycznych znaczeń. Jest to zawsze ułomny i ograniczony twór życia: ułomny i ograniczony nawet, gdy rozważamy je jako dzieło całego gatunku, ale jedyny. Rzeczywistość człowieka jest względna, niegotowa, nieskończona, niema żadnej gotowej, skończonej, zamkniętej rzeczywistości.

Przy rozważaniu Bradleya i jego >>absolutu<<, nie tracić z oczu tych punktów widzenia. Jest bowiem ciekawe, że często stają się podziemnymi, zapadają gdzieś najważniejsze w danym momencie punkty widzenia.

Dr. Biegeleisen kazał mi czytać Bradley'a. Być może, będzie to z mojej strony niesprawiedliwe i jest ryzykowne, ale robi to takie wrażenie, jak gdyby wyszukał on właśnie nazwisko, którego ja nie wymieniłem. Brak wszelkiej wspaniałomyślności w tem, co ludzie piszą o moich pracach, jest zjawiskiem powszednim. Lange i Chlebowski są wyjątkami. Trząśłem się całym ciałem i w nocy dostałem ataku spazmatycznego po artykule Chlebowskiego. Niewątpliwie był to czyn. Heine chwali jakiegoś cesarza, który posłał Lutrowi puchar wina. Chlebowski zrobił coś podobnego. Niech Bóg mu da wszystko dobre. I myślę właśnie, że to jest coś więcej, niż piękny zwrot.

Gdy przenikniemy się Myersowskimi, Bergsonowskimi pojęciami o naturze ludzkiej, inne znaczenie przybierają te wszystkie rzeczy. Ciekawe, dla czego faktycznie wolno bez kompromitacji nie myśleć o takich pisarzach jak Myers. Myers już conajmniej jest dziś takim nowatorem, jak w swoim czasie Bruno. Ale tacy Nałkowscy nawet zbudowałiby dla niego stos. >>Ten Brzozowski<<, mówiła Z. R. Nałk. >>rozmawia tylko o spirytyzmie<<. To mówiła poetka, osoba o kulturalnym naprawdę zakroju natury, po rozmowie, w której starałem się ukazać jej świat poetycki Mereditha i Browninga, niewątpliwie dotąd dla niej obcy.

Nie powinienem być tchórzem i napisać o Myersie.

Wiek XIX. stulecie nadziei nadludzkich i wiar poronionych. Nie umiemy żyć jeszcze po oswojeniu się z faktami, że tak jest, że niema żadnego sposobu, by życie ludzkie stało się czemś innym, niż życie. W tym wieku nie umiano myśleć o życzeniach jako nie dających się urzeczywistnić. Mieć odwagę, to znaczyło wierzyć, że każde życzenie jest do urzeczywistnienia. Znaczyło to stworzyć system racjonalnej nadziei dla każdego życzenia. Być rozczarowanym to znaczyło nie wierzyć w żaden z tych systematów, to znaczyło widzieć tylko spalenisko tych wmówień usiłujących przekonać, że człowiek może być czemkolwiek bądź zechce, bez ograniczeń. Dzisiaj jest trudno wywlec duszę z wszystkich tych subtelnych ścieżek i powikłań błędu. To, co jest najelementarniejsze, staje się dostępnym jedynie jako szczyt sztuczności. Schemat tymczasowy: od XVI stulecia jest już pewne, że człowiek, o ile jest on reprezentowany przez europejski Zachód, wyszedł poza granicę, obręb wszelkich dotychczasowych form. Na razie przynajmniej u pewnych natur przemaga uczucie tryumfalnego lub rzecz rzadka: i drogocenniejszego – zdrowego t. j. obywatelkiego się bez chorób (?) a podniecającego i podnoszącego duszę aż na szczyt radości – oczekiwania. Szekspir *in idea*. U innych przemagają międzycząstkowe pierwiastki oczekiwania, interesy są ześrodkowane na pewnej dziedzinie, wtedy daje się to pogodzić z przywiązaniem do pewnych określonych form. Wreszcie bywają wypadki, gdy przeważa poczucie zguby istniejącego. Machiavelli z pewnych punktów najtragiczniejszy: – niemożność brania udziału w tem nowym życiu. Co tak wzniosło Anglię: wiara w dokonane organicznie odrodzenie zbiorowe (reformacja) – (bez przeciwieństwa na razie z innymi faktami, przeciwnie: jako jedno i to samo). Zawsze ulubieńcy dziejów, dalej typy (?), gdy już rozdwoje-

nie i rozdarcie wystąpiły silnie – życie stało się ciekawe, pełne intelektualnych rozkoszy i niebezpieczne (modlitwa czy prośba do przypadku Lionarda). Niebezpieczeństwo nietylko zewnętrzne, lecz i moralne; tragiczna dusza Michała Anioła – nie bądź tchórzem, napisz, co o nim myślisz, za podstawę biorąc tylko literaturę, poezję, listy. W tem niebezpieczeństwie ci, co nie mają moralnej jego natury a są uzbrojeni wobec zewnętrznych. Benvenuto Cellini – niezrównany, awanturnicy, którzy już mają w sobie romantyzm – nadzieję, chimery – Campanella; Bruno, porównaj z Piki'em (nie wiem, jak wypadnie, źle, słabo z czwartej ręki znam Pica). Wreszcie Galileusz – nauka zostaje wywikłana z awanturniczej przedsiębiorczości – to różnica między Galileuszem a Baconem. Zwolna wyrasta świat stały coraz bardziej określony. Wiek XVII. – porządek państwowy staje się warunkiem, wśród którego myśl musi istnieć. Różne formacje – Kartezjusz, Hobbes, Spinoza, w formie organicznej wiek Ludwika XIV, wielki wiek Francji: Trzeba dalej snuć tę analizę, ale dziś już przestaje ona mnie bezpośrednio ożywiać a tu zapisuję myśli tylko *sub specie* poruszenia duchowego, nie jako materyał erudycji.

Bezwzględne samopoznanie, jako tożsamość poznającego i poznawanego – do tego dąży wszelka dyalektyka, ale linia, która prowadzi do Sorela i Mereditha jest do dziś dnia zapoznana, jak gdyby nie istniała ona. W porządku rzeczy.

1911

2. I.

W studyach greckich W. P a t e r a przewija się przez całość książki pewna zasadnicza i silna myśl filozoficzna: człowiek zrazu rozplawia własne swe życie w naturze, żyje podziemnym życiem dojrzewającego ziarna, pęczniejących soków roślinnych, strumieni wody : jego wzruszenia i myśli stają się tem pozornie nieludzkiem, kosmicznem, szerszem, niż człowiek życiem. Ale zwolna ujawnia się coraz bardziej ludzka natura – antropomorfizm ukryty staje się jawnym. Świat kosmicznych symboli wrasta w pień doryckiego posągu samotnej ludzkości, która nie znajduje i nie może znaleźć niczego, coby prowadziło ją poza nią istotnie. Tylko nieuświadomione, nieopanowane życie duszy i uczucia, posiada naiwną świeżość fal kosmicznych, pulsowania natury; gdy życie to dojrzewa do świadomości, znika ten czar. Jest niewątpliwie, że wiąże się to z osobistą naturą wewnętrznych potrzeb i tęsknot Waltera Patera, z tem, co możnaby nazwać jego sakramentalną nostalgią. – *Child in house* – to, co mówi Benson. Znaczenie obrzędów w *Maryuszu*. O sakramentalnym poglądzie na naturę nie znam silniejszej stronicy, niż w *Sir Percivalu Shorthouse'a*.

Jest w mojem życiu pisarskiem czas, do którego wracam zawsze z miłą pamięcią i modłę się, t. j. siły życiowe skupić usiłuję przez rozpamiętywanie praw i faktów życia, by da-

nem mi było wrócić znowu do tego stanu. Był to czas pracy cięższej, niż kiedykolwiek, ale jakie zdrowie, jakie mięśniowe niemal dobre sumienie było wtedy w moim prawie wyrobniczym mozole. Może pamięć dlatego tak wraca, że był to pierwszy czas mojego życia z Tobą, Toni, moja droga, która nigdy nie zrozumiesz, czym jesteś dla mnie, gdyż nigdy nie chcesz zrozumieć, kim ja jestem. O! ja teraz nie myślę o talencie. Mój Boże, za to ci przynajmniej (?) jestem wdzięczny, że duma moja jest niezależna od faktu, iż umiem układać zdania, że nie potrzebuję ciągle, nieustannie myśleć o swoim piarstwie, że nie mam zmysłu dla drobnej polityki podnoszenia swej wartości na giełdzie opinii.

Nie. Ale ja jako człowiek. Mnie jest potrzebna praca i poczucie, że jest ona wydajna i gdy tego nie mam, jestem niczem, ale gdy nachodzą na mnie dni niepłodności, nikt nie znajduje instynktu, któryby mu wskazał, co ma mówić, jak się ma zachować wobec mnie. Wtedy jestem sam, czuję się na wieki przeklętym i nie umiem oprzeć się mniemaniu, że nawet Tonią patrzy na mnie z litością jak na chore zwierzę, które właściwie mogłoby być dorznięte. Ja nie znoszę tej dobroci. Tej litości. To mnie zabija. Ja nie znoszę tego, że mówi mi się: „nikt nie może od ciebie wymagać więcej”. Odemnie trzeba wymagać, żądać i wynagradzać uśmiechem i pogodnym brzmieniem głosu, ale za nic nigdy nie rezygnować, gdyż ja się męczę bezczynnością, bo ja to odczuwam jako obiektywny sąd, że już jestem złamany, że ktoś słyszał trzask kolumny pacierzowej i że choć jeszcze nie wiem, już nie wstanę. Humoru pracy codziennej, ożywczej, rzeźkiej. Wyrobić go znów, nie stracić, to modlitwa moja. Kant z walki z chorobą swoją stworzył swą wielkość – miał wroga – naturę w swoim organizmie; heroizm ma wszędzie miejsce – właśnie trzeba go znajdować w tych jego postaciach. Johnson, Michał Anioł, wszyscy oni potężni, wydobywali pracę z otchłani organicznej niechęci, niemocy, dźwigali ją Niema twórczości, ani pracy w spokoju – jest to zawsze gorączka z zenitem i nadirem. To jest określenie człowieka – jego natura. Tak się zachwycasz Bergsona filozofią, a nie chcesz zrozumieć, że to właśnie jej prawda: ten rwący się, rozsypujący się w popiół i ohydę ogień, to ciągle poczynanie, nigdy dna, nigdy przystani, wieczny bezład i wieczna walka z rumowiskami, to jest człowiek. Jeszcze nie zginął, jeszcze nie stracił prędkości myśli – teraz skup siły. Zrób Machiavella, Bruna, Vica, byś Ty był z tego zadowolony, urośniesz znowu dla siebie, jako pracownika – wtedy dasz radę. Słowackiemu, opuści cię tchórzostwo. Ale gdyby było możliwe, gdyby było możliwe, żeby Tonią zrozumiała, co ona jeszcze ze mnie zrobić może; ona jedna. Całą duszę mam poszarpaną, ona jest najstalszym punktem mych przywiązań, jedynym faktem mego życia, który mnie nie zawiódł.

3. I.

E*** wiele razy zapytywał mnie, czy nie byłoby dobrze, aby ktoś młody przedstawił całokształt mojej działalności na zasadzie szczegółowej znajomości wszystkiego, com napisał. Czy byłoby dobrze? Pytanie to trudno zrozumieć. Nie mogę rozstrzygać, czy to byłoby ciekawe, pożyteczne dla czytelnika, ale dla mnie miałyby to znaczenie wewnętrznie nawet, t. j. dla dalszej mojej pracy – wielkie. Potrzebuję, i nieustannie stwierdzam to – takiego kompendium moich myśli i usiłowań, a zrozumienie, że jest w moich rozproszonych kartach jedność i całość najskuteczniejszej broni mnie od zniechęcenia. Ale napróżno byłoby czegoś podobnego się spodziewać. To, co jest myślą w moich pismach, najmniej zajmuje. Nikt właściwie nie powiedział słowa, które miałyby pod tym względem znaczenie – pochwała obejmująca z zewnątrz nie zastąpi wnikięcia w organizm myśli, przejęcia się jego prawami. Gdy przerzucam stronę po stronie różne pisma, różne moje artykuły, widzę, że były to i są *disiecta membra*. W studium o Żeromskim są stronicie (o d u c h u), które są kontynuacją wątków myślowych, wykładanych w „Filozoficznym”. W takich warunkach

istotnie pisałem, że najistotniejsze moje myśli nigdy nie mogły być podane bezpośrednio jako treść. Ani Dawid, ani Feldman, ani.... Kucharski nie wydrukowałoby czegoś podobnego. To wszystko było zawsze nie tyle pod progiem mojej świadomości, ile raczej pod progiem bez-ideowości i antiliterackości polskich redaktorów, szukało sposobności, by się wychylić w świat naturalnie chyłkiem, z bojażnią, że jeżeli będzie tego za dużo, cierpliwość się wyczerpie.

Filozofia czynu np. – była ona tak absolutnie ignorowana, tak z góry poklepana po ramieniu przez Feldmana, że ja sam przestałem uważać ją za coś istniejącego. Po latach bez przeglądania jej, czytałem ją w książce i widzę, że nie jest ona gorsza od rzeczy, które drukują się w zbiorach przez takich autorów, jak James, Schiller. W *Legendzie* i w *Ideach* jest cały rój myśli dopominających się o kontynuację: naturalnie znowu zginęły one w apatii filozoficznej. Nie jest to żaden zaszczyt, ale rzeczywiście, niema dziś w piszącej Polsce poza mną nikogo, ktoby czuł właściwe znaczenie zagadnień filozoficznych. Dlatego nikt nawet przy dobrej chęci – a tej niema prawie wcale – nie może współczuć z całością mojego wysiłku. Tacy „filozofowie” jak Halpern, jak Segal, mogą poprzestawać na swoich trocinach książkowych, bo pozatem, mieszanina dekadencji i oportunistycznego życia pozwala im przez całe życie nie przekonać się ani razu, że ich cała gadanina filozoficzna nie ma żadnej treści, jest nudnym, nieharmonijnym konstruowaniem pojęć, tak, aby dały one nowy i akademicko dopuszczalny – nawet dobra jest pewna >>rewolucyjność<<—deseń.—Killpe ma też swojego Kanta. Niechęć bezwzględna rodzi się z takich faktów. Kant nie zdołał więc nawet osiągnąć tego, – by jego, który zrobił wszystko, by powiedzieć tylko to, co myślał i jak myślał, Kant, który jest wzorem przejrzystości, byle się go tylko nie chciało >>konstruować<< i >>mentorować<< mu podczas czytania, ale przyjmować go w całości, – nie osiągnął tego nawet, by mu nie przekreślano jego myśli. Co może być istotnie wspólnego między Killpem – a Kantem! Tu same portrety rozstrzygają. Mało rzeczy znam tak cudownie wytwornych, jak ręce i oczy Kanta – nęc plus ultra subtelności. Goethe – spotkałem to zdanie u Chamberlaine’a – powiedział prawdę: istotnie wchodzimy do jasnego pokoju, czytając Kanta. Ale naturalnie kiedyś, o ile ten dziennik mój będzie czytany i analizowany, krytyka będzie widziała w tem, co piszę, dowód mojego upodobania do paradoksów, sadzenia się na oryginalność i naturalnie żadna siła temu nie zaradzi. Kto wyperswaduje Anglikom, że niezrozumiałość Browninga stała się dziś w znacznej mierze tylko nałogową formułką, że w każdym razie Browning zawsze dokładnie i bardzo silnie wiedział, co chce wypowiedzieć, tylko to, co on chciał wypowiedzieć, stanowiło zawsze doświadczenie, myśl. przeżycie, trudno dostępne. E*** będzie całe życie narzekał na brak książek i czasu i nigdy nie zdołał go przekonać, że Kant i Goethe, w całości przestudowani, daliby mu, o ile wogóle ją mieć może, skalę miar, których dzisiaj szuka on w pojedynkę i gorączkowo. To samo W*** z Francuzami. Jest istotnie organiczna niechęć i niemoc kulturalna w epoce: rozproszona ciekawość, nieuporządkowane ambicje – nie pozwalają wytworzyć się psychice, zdolnej dźwigać kulturę osobistą. Każda nowa ambicja tworzy w nas nowy rozkład wartości, nowy plan, nowe stopniowanie hierarchiczne – na chwilę naturalnie—a ponieważ ci, którzy rozbudzili w nas tę ambicję, są w tym samym stanie i my sami też działamy na innych, w ten sposób tworzy się ruchome piaskowisko myśli i uczuć. Polityka zgartuje to szuflami, do szczętu brutalizując wszystko, co wymaga subtelności – własnej swej hierarchii, spokoju.

Jeszcze przed dwoma laty uważałem aforyzmy wstępne (z podręcznika ekonomii) Vilfreda P a r e t o za dowcipne paradoksy, teraz są one dla mnie tem, czem są: gorzką i niezaprzeczną mądrością. Pareto jest jednym z najciekawszych umysłów naszej epoki. Gdyby zapytano mnie, kogo uważam za umysł nowoczesny, za umysł wyrażający nastrój i strukturę duchową naszych czasów, wymieniłbym: Pareta, Chestertona, Sorela, Maurrasa, Crocego, Seilliere’a, Loisy, Bergsona, Jamesa, Barres’a, Wellsa, Kiplinga, może Shawa,

ale >>nowoczesny<< sam przez się nie jest aprobatą dla nowoczesnego kształtu umysłów bezwzględnie fałszywych – Maeterlinck, Pascoli;

Rolland jest umysłem nawpół sfalszowanym, lecz takim, że czuje się dość silnie żal tej straty. France! Czemu był kiedyś France dla mnie. Od France'a do Mereditha – z tego rozwoju mógłbym być zadowolony – tak samo jak z tego, co od Guyau prowadzi do Sorela, ale Guyau nigdy nie był dla mnie bezwzględnie mistrzem i źródłem. Avenarius i Taine byli czemś całkiem innym. Tym zaś nigdy nie będę bluźnił. Zawdzięczam im nieskończenie wiele. Powinienem, jest to moim obowiązkiem, napisać książkę w obronie Taine'a.

Oprócz innych rozróżnień, jakie mogą być wykryte i ustalone w fakcie tak bogatym, skomplikowanym i posiadającym tak długą i różnostronną historię, jak chrześcijaństwo – niewątpliwie na szczególną uwagę zasługuje następujące. Chrześcijaństwo wprowadza nas w świat stosunków, zachodzących pomiędzy nami, Bogiem, życiem przyszłym – jest właściwie światem posiadającym całą nieskończenie głęboką budowę i prawa: niczego w nim nie brakuje, gdyż jest to istotnie świat żywy, więc rozwija się on w naszej myśli i ktokolwiek – bądź przeniknie się prawdą jednej chociażby tylko zasady, byle tylko istotnie wżył się w nią, rozwinię z niej wszystkie inne, cały świat chrześcijaństwa jest zawarty organicznie w każdej z jego prawd cząstkowych. Jednocześnie ten świat najgłębiej działa wewnątrz dusz naszych i przekształca tak myśl naszą i wolę, aby wyrastało z nich postępowanie odpowiadające podstawowym i zasadniczym warunkom naszego kulturalnego społecznego życia. W epokach idealnych, a raczej w ideale, oba te fakty, obie te strony żyją we wzajemnej harmonii, żadna z nich nie wyszczególnia się i nie wyodrębnia. Chrześcijaństwo jako świat metafizyczny, jako prawda nadprzyrodzona jest organem wychowawczym, na zewnątrz ujawnia się w doskonałości wszystkich form życia, które wola w ten sposób wychowana wytwarza. Można niewątpliwie widzieć w tego rodzaju rozumieniu tych rzeczy, bardzo zasadniczą i jak gdyby nie szczerzącą niczego, rujnującą samą możliwość odrodzenia, krytykę chrześcijaństwa, gdyż nadprzyrodzoność, to bądź co bądź źródło i sprawdzian, zostają tu wchłonięte przez tutejsze ziemskie, świeckie życie kultury. Ale nie jest to bynajmniej jedyny sposób myślenia, wyrastający z tego punktu widzenia. Przeciwnie, głęboka harmonia między ziemskim i niebiańskim faktem chrześcijaństwa jest jakby stwierdzeniem jego prawdy. Chrześcijaństwo występuje jako naturalny żywioł życia człowieka, ale przecież głosi ono jego odkupienie. Jeżeli widzimy, że wrasta ono tak bez reszty w ziemskie życie, to nie jest to dowód, że chrześcijaństwo jest tylko ludzkie, lecz, że człowiek jest chrześcijański, nadprzyrodzony, że nie może być myślany inaczej. Cała zasadnicza postawa Feuerbachowska jest naiwnością. Cóż bowiem, że chrześcijaństwo jest faktem ludzkim, tylko ludzkim, że niema w nim ani jednego atomu, któryby nie był z człowieka, – przecież znaczy to i to także, że niema w człowieku pierwiastka, któryby nie był >>nadprzyrodzony<<, wpleciony w przedzę dzieł i zamyśleń Bożych. Człowiek samopoznaje się w chrześcijaństwie, gdyż Bóg, który go stworzył, stworzył go według tej samej prawdy, którą mu objawił To dla dogmatyków. Ale kulturalnie dwa te fakty rozszczepiają się. James zawsze troska się, czy aby nie za dużo tej nadprzyrodzoności, ascezy, świętości; tyle jej trzeba, aby wyrastała wola – ale nie więcej. Tu jest dogmatyzm Jamesa – dogmatyzm niespójny. I podczas gdy chamy z „Nowej Reformy” zarzucają mu, że przechylał się w stronę >>grubego<< spirytyzmu, nie widzą, że o ile ten spirytyzm był gruby, to dlatego, że jest on jednak wpływem koniecznym naturalizmu i F. H. M y e r s jest umysłem zasadniczo tego typu co jakiś Helmholtz, Hertz, Clifford; w tem właśnie leży to, co mię odstręcza od niego filozoficznie. Ideowo idzie tu zawsze o podporządkowanie człowieka faktowi. Fakt jest niemniej fetyszem, gdy działa w postaciach energii, ruchu, funkcjonalności matematycznej, jak i wtedy, gdy ma do rozporządzenia dziedzinę i formy działania ukazywane przez Myersa. Dlatego pomimo, że będę w ten sposób podkopywał się pod nieistniejące jeszcze bastiony przeciwników i na moich czytelników t. j. tę część społeczeństwa, która dotąd

przeważnie i ku memu nieszczęściu jedynie bodaj mnie czyta, będę robił wrażenie opętanego walczącego w próżni, muszę przecież zdobyć się na zimną krew – i dokonać jeszcze i tego donkichotyzmu.

Wracając do tych dwóch momentów w chrześcijaństwie—nie wierzę w chrześcijaństwo bez elementu niebiańskiego, takie, jakie zarysowuje się S. Minocchfemu w jego ataku na Tyrrella. Nie wiem, czy M. ma słusność, i czy Tyrrel jest tak wyłącznie..... (?); tak to jego *Much abused letter* musi być ciekawą rzeczą – jeżeli tak, to mam słusność mówiąc, że on i Loisy podzielili się dwoma biegunami myśli J. H. Newmana. Jakaż głęboką prawdę wypowiedział M. Arnold: J. H. Newman, tacy jak on ludzie, takie jak jego umysły dzisiaj muszą nas wprowadzać w stan zadumy, jak wobec cudu, jak wobec faktu wyższej, niż nasza a harmonijnej natury. Nie jest dla mnie paradoksem nastrój, który pomimo wszelkich niepodobieństw materialnych łączy Shakespeare'a i Newmana w tym samym podziwieniu dla niekaleczącego niczego w duszy naszej harmonii. To jest może ta >>metodologia<< ewangelii, o której J. H. Newman mówi gdzieś, w którymś z kazań *en passant*. To także jest odkupienie człowieka. Jest to bluźnierstwo prawie, ale Blake i J. H. Newman mieli to wspólne poczucie, że Chrystus musi się stać swobodą całego człowieka, całej jego myśli we wszystkich jej aspiracjach poznawczych, estetycznych, poetyckich, etycznych – w całości jego niewyczerpanej natury. I naturalnie Newman cofnąłby się przerażony (choćby kto śmie twierdzić,—Newman istotnie może zniechęcić do wszystkich mych >>psychologów<< ; niech będzie błogosławiona ta jasna chwila, gdy go zacząłem czytać) w zetknięciu z Blake'em. – Zresztą mniejsza o to: ja rozumiem siebie, gdy to piszę. Widzę, widzę plastycznie granice słusności tej natury. Anglia, to kraj tylko dzielnych kupców, mówi W. Feldman o narodzie, który dał nam szczęście wznoszenia duszy przez stosunek z Blake'm, S. T. Coleridge'm, Lambem, Carlyle'm, Newmanem. Newmanem z pewnego punktu przedewszystkiem. Tylko Browninga, Meredith'a i jednak mea culpa Blake'a i jednak Coleridge'a nie wyrzekłbym się dla Newmana, ani Carlyle'a – niechby (?) – a jeszcze Dickens, a Thackeray, a D. G. Rossetti – a tyłu, których jeszcze nie znam. – Mój Boże, mój Boże, daj mi przecież siły i odwagi, – pozwól niech ta świetność i głębia nie przerażają mnie, lecz stworzą we mnie słowo, bym mógł o nich mówić spokojnie i z niegasnącem światłem.

4. I.

Wczoraj skończyłem I-y tom mojej powieści. Były już chwile, gdy byłem zrozpaczony, wydawało mi się bowiem, że wszystkie te postacie są nieuleczalnie papierowe i nie obchodzą mnie ani trochę. Ale wczoraj nastąpiła znowu ta rzecz tak trudna: ustalił się obieg krwi pomiędzy mną, a dziełem. Są rzeczy, które miały racje być wypowiedziane. Chciałbym dziś wejść w inne widzenie życia, ale nieprawdą będzie, gdy będą mówili, że ta powieść nie posiada własnego swego ujęcia życiowej rzeczywistości. Wolałbym, by to ujęcie było inne, a raczej jest już ono we mnie dziś inne, ale moje pisanie pozostaje zawsze poza mną i wyraża to, co jest moją przeszłością. Możnaby stąd nawet wyprowadzić zarzut przeciwko niemu, że uwstecznia mnie ono i przeważnie jestem skłonny wierzyć w coś podobnego nie-tylko u samego siebie, ale i wogóle. U ludzi żyjących silnem moralnem życiem, to jest przeistaczających się, artyzm jest zawsze powrotem, lub zatrzymaniem: coś co było już nami, lub choćby nawet jest, ale w każdym razie coś, co nie jest czystym dynamizmem tworzenia własnej istoty, leczenia jej, przebudowania, – utrwała się tu. Artyzm zależny jest od pierwiastków, które zmieniają się najwolniej, od wzruszeń i czuć i ich połączeń z naszą auto-sympatyą, stanowiącą moment popędu do auto-impresyi. Gdy więc zaczynamy pisać, ożywia się w nas i uzyskuje przewagę nad nami nie wola – lecz natura: natura staje się

wolą. W tych więc momentach jest już i etyczne usprawiedliwienie arcyzmu. Chroni on od jednostronności, wolą w niej staje się nawet w brew nam samym, to, czego byśmy nie chcieli, nie śmieli uczynić wolą. Samowiedza nasza się zaostrza i o ile tylko prąd życia jest w nas silny, wychodzimy z tego powstrzymania silniejsi, głębiej i szerzej wierni samym sobie. Stąd jednak i ta właściwość, że jestem bezsilny wobec tego, com napisał. Nie mogę wracać. Jest każda rzecz tylko raz dla mnie. Stan i usposobienie, niewątpliwie wykluczające doskonałość, ale Blake nie był w stanie nigdy poprawić swych rzeczy. Mam nadzieję, że nadejdzie i w moim życiu okres tworzenia spokojnego, ale będzie to nie wcześniej, aż gdy wżyję się całkowicie w prawdę. Wtedy gdy już dokona się proces przeniknięcia wzajemnego etyki, psychofizjologii (rozumiem samego siebie, gdy to piszę), będę mógł pisać inaczej. Teraz napróżno byłoby marzyć o estetyce innego typu. Muszę jeszcze iść śladami Dostojewskiego.

Browning dlatego jest tak pożyteczny dla mnie, że jest spokrewniony z Dostojewskim, a przecież o wiele bardziej zabezpieczony. To zabezpieczenie nie koniecznie jest wyższością. W każdym razie zastanowienie się nad tem, gdzie jest granica między tymi dwoma twórcami, jest konieczne.

Krytyk dzisiejszy jest jak Sokrates, tylko że zamiast małego ateńskiego świątka – ma całą ludzkość.

5. I.

Jedną z przyczyn lekceważenia przez naszych współczesnych literatury francuskiej XVII wieku i analogicznych epok kulturalnych, jest hegemonia formy, stylu, sposobu wypowiedzenia nad treścią. Jest niezaprzeczalne bowiem, że my uważamy, skłonni jesteśmy uważać za pewnik, że istnieje pewne c o wypowiedzenia, czysta treść, niezależna od tego, jak jest wypowiedziana i ujęta. A jednak wręcz przeciwne twierdzenie jest i słuszniejsze i kulturalnie zdrowsze, zbawienniejsze jako wychowawcza zasada. Jak – forma zachowania się ludzi w stosunku wzajemnym, obejmująca i całą dziedzinę stylu, jest kategorią powszechną. Wszelkie co daje się zredukować do tej kategorii, jest tu tylko pewną postacią życia, zachowania, funkcją. Stąd może ryzykowne jest wykluczać z filozofii takie nawet umysły, jak M. Arnold. Przeciwnie myślę, że pisma Arnolda dla nikogo nie są tak konieczną szkołą, jak właśnie dla dzisiejszych *sans le savoir* fanatyków naukowej kultury, muzułmanów determinizmu naukowego, czcicieli faktu etc. Nagie co powstaje tam, gdzie dziedziny naszego życia i zachowania nie wydają się nam pięknem!, swobodnie wypływającymi z naszej istoty, przynoszącymi nam zaszczyt, ujawniającymi jakieś godne miłości i zachwyty strony naszych osobistych uzdolnień. Gdy życie posiada te wszystkie cechy, możemy być pewni, że nastąpi przesunięcie się środka ciężkości od literatury ku nauce. N e w m a n raz na zawsze oswobodził mnie od tych przesądów dzisiejszego mechanicznego barbarzyństwa.

Pojąć nie mogę, jaką rolę odgrywa w umysłowości Wellsa ta jego *the beauty*, o której mówi z takim naciskiem. Sama umysłowość nie zasługuje bynajmniej na lekceważenie. Powinniśmy przede wszystkim dokładnie analizować tak blizkie nam umysły. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ludzie Wellsa są jakby nie brudni, ale brudnawi, że jest to człowiek nie uznający zasadniczych barw, czystych tonów w etyce. Nie o to chodzi, że tym ludziom może zdarzyć się coś brudnego, lecz że w tej ogólnej atmosferze nie będzie to wydawało się rzeczą mającą znaczenie. „Wszystko jest plamą” – jest to panteizm oportunistyczny, komfortu – i religia świata centralnie ogrzewanego. Wszystko to jest konsekwentne, ale *the beauty*? Zdaje się, że kiedyś już rozumiałem ten punkt. Krytyk musi być bardzo czujnym i

nie ufać pamięci. Pamięć nie zachowuje stanów życiowych – ale wyniki tylko. Wynik nie wystarcza. W krytyce ma znaczenie tylko to, co jest stwierdzeniem obecnego, żywego stanu duszy, pewnej skomplikowanej, błyskawicznej syntezy. Trzeba jeszcze raz będzie bardzo uważnie przeczytać ważniejsze rzeczy Wellsa.

Waham się, czy praca nad panią Du Deffand nie jestto czas stracony, a raczej czy będę miał dość spokoju nerwowego do wykonania tej pracy i zużytkowania jej. Oddawna już pociąga mnie wiek XVIII i nigdy nie odważam się zanurzyć się na dobre w jego atmosferze. Zdaje się, że tym razem przemożę skrupuły, które w gruncie są subtelną formą lenistwa.

– Pisać zacząłem bardzo wcześnie; pamiętam, że w II-iej klasie gimnazjalnej wprowadziłem w zdumienie Gorieła(?) nauczyciela łaciny, gdy odkrył on pomiędzy moimi kajetami gruby zeszyt przeznaczony na spisywanie moich przekładów z łaciny. Niewątpliwie w karierze nauczyciela rosyjskiego należą do rzadkości fakty, aby uczeń sam z siebie zdradzał jakiegokolwiek upodobania osobiste, spontaniczne, do jakiegokolwiek bądź z przedmiotów wykładanych. Jest tu rzeczą ustaloną że Sofokles, Homer, Plato, ale nawet Пушкинь Лермонтовъ, są tylko lekcją, czemś, co jest zadawane i napotyka raczej opór i lenistwo. Jako ew. przedmioty zajęcia, nie wchodzi te rzeczy w rachubę – a w każdym razie zasadą pedagogiczną jest, że z natury są one nie zajmujące, nie zdolne pociągać. Nic nie może być bardziej demoralizującego, niż ten rys. Żadne wysiłki rusyfikatorskie w Królestwie, a ogólnego sykofantyzmu w całym państwie nie przynoszą tyle krzywdy, ile ta apatya. Naturalnie jest ona związana z systemem i nie mam zamiaru tego kwestyonować, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że groźnymi są nie jaskrawe i w gruncie rzeczy rzadkie fakty skandalicznej opresyi, która systemem panującym staje się tylko w razach wyjątkowych, jak w gimnazjum lubelskiem Siengalewicza (nie powinien on być zapomniany i powinien zostać w historii), ile raczej ta urzędowa nuda, która zwolna zatruwa umysły, przyzwyczajając je do tego przekonania, że własna działalność myślowa jest czemś nie-normalnem, „nawet nie wymaganem”. – Pamiętam, jak naiwnie zdziwił się mój kolega Nikołajew, że ktoś może zajmować się poważnie, osobiście kwestyami logiki. >>W gruncie rzeczy wszelka wiedza jest indukcyjna<< mówiłem, wtedy darwinista, >>jeżeli człowiek jest wynikiem ewolucyi – wiedza, którą nawet cały gatunek ludzki znajduje w sobie gotową, była nabyta indukcyjnie przez zwierzęcych przodków–<< >>Nu – jeżeli ty o takich rzeczach będziesz myślał – ! – << a byliśmy wtedy w ósmej klasie i N. musiał mieć lat 20! W czasie epizodu z kajetem i tłumaczeniami usiłowałem pisać wiersze i bazgrałem je ciągle na lekcjach a że zawsze były >>patryotyczne<<. łatwo mogłem stać się >>męczennikiem<<: Korepetytor mój, Kruszewski, wziął odemnie jako curiosum zeszycik z kilkoma takimi utworami. Zdaje się, że miały one zbyt mało sensu i rymu, nawet dla mego wieku (1 i lat). Pisałem wtedy i tragedję, zdaje mi się na temat Orestesa – lecz już w jakimś 20 wierszu miałem na scenie tyle trupów, że nie wiedziałem, co z nimi robić. W dwa lata potem pamiętam początek dramatu – o rokoszu Zebrzydowskiego. Jakiś strażnik królewski przemawiał tak do rokoszanina: >>...A milcz, ty ogonie byczy!<< Ale prócz tego ogona nie zostało mi już nic w pamięci. W rok później napisałem pierwszą krytykę, rozbiór E s te i Kartek z życia kobiety, zdaje się bardzo pochlebną. Prowadziłem wtedy także dziennik, którego zaniechałem, gdyż ojciec mój czytał go i kilka razy wspomniał z ironią (zasłużoną aż nadto zapewne) jakiś szczegół (zdaje się >>mój sceptycyzm religijny<<). Może jednak był to tylko dogadzający mi pretekst, a przyczyną zaniechania był brak wprawy, lenistwo i choroba całej mej młodości: rozrzutne niechłujstwo zainteresowań umysłowych.

Berkeley niewątpliwie może być przedmiotem żywego nie akademickiego studyum. Wystarczają po temu całkowicie już te momenty, które znam: i-o bierność idei; 2-0 tworzenie nie może być idea; 3-0 nie może istnieć wystarczający samemu sobie system idei

(materya). A przecież ciągle jeszcze pozostaje ogólnym wyobrażeniem i przedostaje się do ogółu tylko to, że Berkeley zaprzeczał istnieniu świata zewnętrznego, więc wszystko było dla niego tylko myślą. Jaka siła zmusza Jowialskich do gadania o filozofii, podczas gdy bajeczki i figliki (pręciki ?) najzupełniej im wystarczają. Właściwie w Polsce Jowialski jest straszniejszy od Inkwizycyi hiszpańskiej, i swemi rozczłapanemi pantoflami wydeptuje on skuteczniej samą chęć nowinek niż najdrapieżniejszy fanatyzm. I wszystko w zgodzie z >>papką i czapką<<. Och Fredro! Istotnie jest to skarbnica polskości. Kiedyś pamiętam (byłem jako chłopiec nieznośnie uprzykrzony w wysiłku ciągnięcia swych myśli za włosy i sztucznego dorabiania im wąsów i łysiny), Wojciechowi Rostworowskiemu zdaje się, przedkładałem, że Fredro jest wyższy nad Moliere'a. Czem był dla mnie Moliere wówczas! I właściwie czem jest on dla nas dzisiaj. Ale Fredro nigdy nie przedostał się aż do tej dziedziny, w której kwestyonowany jest sam człowiek, nie miał on zasadniczej (jako poeta) żywej idei człowieka. Moliere blizki był tej głębinie lub nawet dosięgnął jej. Teraz zaczęć znów go czytać i myśleć o nim prędzej więc przypomina mi Fredrę to, co wiem o Goldonim. Chciałbym odświeżyć sobie ideę Hebbłowską o komedyi i komizmie.

10. I.

Gdy wydaje się nam niesłusznem lub przynajmniej dowolnem twierdzenie, że katolicyzm jest najbardziej bezpośrednią i głęboką formą, w jakiej żyje obecnie w naszej kulturze świat klasyczny, kultura grecko-rzymska, niech zważy, że rysem wyróżniającym myśl katolicką od innych postaci myśli jest to, że najkonsekwentniej uznaje ona życie nasze, życie konstruktywne ludzkości, kościoła za organ prawdy. By dojść do jakiegokolwiek bądź łączności z bytem, jednostka musi wżyć się w ludzkość, jako konstrukcyę, jako formę, mającą w sobie więcej, niż cokolwiekbądź innego w świecie z archetypu, formy bezwzględnej. Spencer, buddyzm Lefcadia Hearn etc. etc. wszystko to są usiłowania znalezienia prawdy w drodze niezależnej od udziału w konstruktywnem życiu ludzkości. Dlatego też pozornie tylko istnieje rzeczywistość w tych systematach. rdzenny nihilizm założen musi przemódz. Stosując Bla-ke'owski pathos do rozważań kościoła – możnaby twierdzić, że odłączamy się od katolicyzmu w momencie, gdy zaczynamy szacować dodatnio, lub przynajmniej względnie bardziej dodatnio obojętność wobec jakiegoś elementu wszechkonstrukcyi dziejowej, niż samą tę działalność. Dla tego raz jeszcze miałem słusność w dyspucie z Irzykowskim, raz jeszcze mam słusność, że zwrot od katolicyzmu do jakiegokolwiek bądź ze znanych mi form myśli i czucia jest upadkiem: zarówno buddyzm jak Spinozizm, Heglizm, czy Comtyzm. Lista perpetua. To jest bezwzględne, ale prócz katolicyzmu: kultury, jest katolicyzm, droga do świata nadprzyrodzonego. I ta jest dla mnie zamknięta.

Nasi zwolennicy wschodu, wielbiciele buddyzmu etc. ulegają charakterystycznemu nieporozumieniu: uważają oni za zasadniczy moment zachodniej kultury, myśli, zachodniego patosu, zainteresowanie w świecie jako przedmiocie użycia (uważając empiryczne poznanie za pewną jego postać) – temu zainteresowaniu przeciwstawiają wschodnią obojętność – jako swobodę, szerz duszy – od czasu Kanta, co najmniej, ale właściwie od czasów Grecyi, Rzymu – rysem zachodnim jest zainteresowanie bezwzględne w świecie, jako przedmiocie naszego czynu, jako stworzonym przez nas dziele. Nie to bezwzględnie jest potrzebne, byśmy żyli w takim lub innym gotowym świecie, lecz byśmy tworzyli świat, tworzyli jak największy zakres rzeczywistości uczłowieczonej. Wskutek pomieszania tych dwóch różnych punktów widzenia – zachód tak mało jest zrozumiany, swojski u nas. Ale Herbaczewszyna jest nieprzenikalna dla tej myśli. Swoboda jako niesprawiająca cierpień,

anemia duszy, cherlactwo woli, żebractwo myśli, skrofuły jako religia. Herbaczewski jest karykaturą, ale karykaturą typową.

Blondel w pierwszej części swego dzieła ustalił niewątpliwie kilka prawd fundamentalnych. Nie sądzę, aby wyraz immanentyzm oddawał dobrze charakter najogólniejszy i zasadniczy jego myślowego wysiłku. Ważną prawdą z liczby tych, o których dzisiaj myślę, jest jego potencjalna krytyka Schopenhauera,—dyletantów à la Pater i ówczesny – t. j. z czasu, gdy Blondel pisał >>L'Action<< – Barrès. Blondel i Barres prawdopodobnie musieli być jednocześnie młodymi ludźmi i w stylu Blondela znać myśli i wątpliwości, ciężkie dylematy i rozdzielenia dyalektyki wrastającej w uczuciowość—stan duszy pokolenia, dla którego Kant (przeżyty jak przez Kleistę), Renan, Taine ogólne wyniki biologicznego zacietrzewienia były chlebem dla duszy.

Juliusz Laforgue pozostanie niewątpliwie najwybitniejszym wyrazem młodej myśli i młodej duszy wzrastającej w takich warunkach. To nawet jest jego patetyczne znaczenie dla nas i jeszcze na długo. Blondel walczył niewątpliwie w dobrej sprawie, ale walczył głęboko i skuteczną bronią sumiennej przebudowy myśli, więc na powierzchnię jego praca nie przedostawała się niemal całkowicie. Ale to pewne, że dyletantyzm, o ile wogóle zachowuje on sumienie myślowe, został tu raz na zawsze rozbity i uniemożliwiony. Prawda, której ostrze jest skuteczne w tym kierunku, polega na tem, że nic co może być kiedykolwiek dla kogokolwiek bądź treścią świadomości, nie może być wolnem od etycznych zobowiązań dla tej jednostki. Niema świata etycznie nieobowiązującego, lecz przeciwnie, – uniewinniającego, gdyż każda zawartość świadomości jest zawsze 1) wynikiem ogólnego życia ludzkości kulturalnej 2) wynikiem naszego stosunku do tej ludzkości. Heglizm może być uważany jako propedeutyka, jako inicjacja w stosunku do drugiego punktu, wyzwala on nas od iluzji, związanych z nieprzygotowaniem osobistym, chorób i mirażów niedojrzałości i dojrzwania. W każdym razie dopóki świat nie wydaje ci się rozumnym, jest to twoja wina. Ale Heglizm utożsamiał nazbyt łatwo punkt drugi z pierwszym, a są one różne, i niekoniecznie wynika stąd, że uznajemy niedojrzałość i niesłuszność naszej subiektywnej krytyki wszech-procesu – dobroć bezwzględna tego wszechprocesu. Byronizm jest stanowiskiem, doskonale scharakteryzowanym w Meredithowskim epigramie o Manfredzie, ale argumenty przeciwko Byronowi nie są argumentami na rzecz zrównania historyi i bezwzględnego rozumu. Naturalnie książka Blondela będzie i nadal u nas nieznaną; wszech–Feldman, wszech–Zofia Nałkowska, wszech–Lemański i wszech–Irzykowski będą w dalszym ciągu świadomie i bezwiednie bronili stanowiska absolutnej równowartościowości frazesu i bezwzględnego równouprawnienia języków. I to jest odmiana katolicyzmu niewątpliwie, ale raczej z jego fazy dowodzącej pięknej konsekwencji katastrof (Norwid).

Każdy myślący Polak musi dziś czuć to samo: myśli nasze butwieją w ciągu jednej nocy. Nie znoszą zetknięcia z powietrzem i ziemią – tem powietrzem i tą ziemią, jakie są z naszej i ojców naszych zasługi– jedynym naszym gruntem. – Czy więc istotnie nie wszystko jedno?

Rozpacz wkrada się przez każdą szczelinę; rozpacz i zniechęcenie. Nie mam w tej chwili żadnej łączności z życiem—jestem sam, a chociaż wiem, że mogę wywierać wpływ, ta abstrakcyjna wiedza nie chce się zrealizować, stać poczuciem. Słaby jestem człowiek, lada mnich średniowieczny był w porównaniu ze mną bohaterem – a my mówimy o przyzwyczajeniu tej etyki. Błazeństwo Kodusowszczyzny, Niemojewskich, wiecznie gadającej Izy, pocziwego Radlińskiego, który ma całkiem niezasłużoną minę Sylena, czy może Sokratesa.

Czasami pewne postacie żyją intensywnie we mnie na chwilę; wczoraj miało to miejsce z Sokratesem.

Meredith rozwiązuje zagadnienie, jak pogodzić idealizm poetycki, idealizm nie ustępujący w rozległości perspektywy Dante'owskiemu lub Shelleyowskiemu bez pojęcia celu ostatecznego, bez wszelkiej eschatologii, apokalipsy etc. Sorel rozwiązuje to samo zadanie w dziedzinie myśli oderwanej i etyki. Sorel, jak się zdaje, nie rozumie własnego swego znaczenia w filozofii i niedocenia swej pracy w prawdziwie wzruszający sposób.

Gdy się ma śmiałość, jak czyni to Lemański, zarzucać całej kategorii pisarzy brak twórczej pracy nad wyrobieniem sobie własnego moralnego świata – trzeba dać dowody, że się ten świat posiadało. Dowodem jest rodzaj widzenia artystycznego. Autor >>Wioseczki<< nie jest bliski stanu, w którym wszystek pył jego myśli stał się Buddą – mam ochotę odpowiedzieć. Nie mogę zaprzeczyć, że mnie jeszcze zawsze rozstrajają ataki tego rodzaju. Ale mniejsza. Nie stoicka nietykalkość, lecz przyzwyczajanie ran odczuty. Byłe na to starczyło sił.

Lubię wsłuchiwać się w ton pierwszych utworów ludzi, którzy później wyrosli nad miarę swoich pierwszych zapowiedzi. Gdyby Blake zostawił tylko swoje *Poetical Sketches*, znalazłoby się może dla niego miejsce w lepszych i obszerniejszych antologiach poezji angielskiej, ale zapewne nie troszczylibyśmy się wiele o niego – a przecież ten umysł, który stworzył ten zbiorek, był in potentia już glebą późniejszych dzieł. Teraz nie trudno znajdować symptomy. Porównanie *Poetical sketches* i młodzieńczych utworów Wordswortha, nastęcza sposobności dla wielu uwag, ale myśl nasza pracuje pod predyspozycją wiedzy, jaką skądinąd o Wordsworth'cie i Blake'u posiada. Blake niewątpliwie w czterech szczególnie pierwszych poemacikach o czterech porach roku o wiele intensywniej intelektualizuje przyrodę: przychodzi on do niej z silną, osobiście wibrującą myślą i w zetknięciu z nią zjawiska stają się odrazu czemś mocno zdecydowanym, ujmuje on je odrazu w perspektywie myśli, a nie tego życia, jakim żyją one w przyrodzie, pozostawione samym sobie. Wordsworth o wiele bardziej wsłuchuje się. Opis dąży i u Wordswortha do pewnego stanu duszy, ale dzieje się to tu powolnym rytmem. Dusza, jak gdyby dochodzi do pewnych stanów jedynie przez to, że stara się oddać sprawiedliwość, dorównać szerszemu życiu. Odrazu przemaga w porównaniu do Blake'a stopień zainteresowania czystą zewnętrżnością. Blake jest o wiele więcej zajęty sobą. Rytm od obrazu do wzruszenia, myśli, stanu woli i znów do obrazu, obieg krwi jest nieskończenie szybszy i bogatszy. Szczęście ma tu ton pełny, silny, słoneczny. Umysł jest silnym poczuciem tego szczęścia, własnej swej energii. Sam przez się umysł Wordswortha jest nieskończenie mniej zainteresowanym samym sobą, nie czuć w nim w przybliżeniu nawet tego rodzaju namiętności osobistej. Życie jako takie, jest raczej melancholijną możliwością, ale zwolna zarysowują się na jego powierzchni obrazy, widzenia, – te wywołują pewne poruszenia, wreszcie, gdy umysł przesyca się naturą . staje się interesującym, jako taki, jako zdolny do tej harmonii dla samego siebie. Kontemplacja jest tu czemś bardziej wartościowem. niż to, co jest bliżej osobistego centrum. Czegoś w rodzaju pieśni Blake'a o >>miłości<< nie znajdziemy tu. Przyroda Blake'a zresztą jest przyrodą wibrującą namiętnością osobistą. Naogół dzieła *Poetical Sketches* są o wiele bardziej interesujące, niż młodzieńcze utwory Wordswortha, nieskończenie większą, i absolutnie mówiąc: dużą dają one rozkosz rozważane już tylko jako utwory poezji bez względu na Blake'a i historyczne znaczenie.

Swedenborgyanizm jest dla mnie niedostrzegalny w *Poetical Sketches* – natomiast pewne naiwne doktrynerstwo społeczne, i jeszcze podziemny, potencjalny ogień demokratycznego rewolucjonizmu.

Ten właśnie rys myśli, który wydaje się mi najważniejszy, najbardziej charakterystyczny jest najtrudniejszy do uchwycenia.

Czemkolwiek bądź jest świat, jakkolwiek bądź ma on być przez nas określony, trzeba pamiętać, że nasze najskrupulatniejsze, najmetodyczniej przestrzegane negacje, nie zmieniają tego, że każde określenie, każda postawa jest i będzie:

- 1) Stanem historycznym pewnej zbiorowości ludzkiej;
- 2) Stanem etycznym pewnej indywidualności, i to zarówno w tem znaczeniu, że są one:
 - a) wynikiem pewnej przeszłości dziejowej, i
 - a1) wynikiem pewnego etycznego wyteżenia, jak i w tem, że są one
 - b) podstawą dla dalszych historycznych działań;
 - b1) momentem określającym dalszy nasz rozwój etyczny.

W żadnym razie nie zmienimy i nie unikniemy tego, że gdy wplatamy w pasmo naszych rozumowań taki moment ontologiczny – wprowadzamy właściwie czynnik, działający w pewien sposób na nasze postępowanie historyczne i etyczne, ale pragniemy, aby sam rodzaj tego działania pozostał nierozwikłanym. Wydawca i komentator Blake'a – Ellis określa głęboko materię, jako >>dark activity of the mind<<.

S o r e l i a n a. Są to moje uwagi, których nie mogę jednak uważać za moją własność. Są to nierozwikłane, nawpół bezwiedne założenia myśli Sorelowskiej.

Cokolwiek bądź możemy powiedzieć o świecie, będzie to zawsze wynik pewnej historii wypowiedziany w terminach pewnej literatury (pojmując przez tę ostatnią całą twórczość językową).

Gdy usiłujemy wytłumaczyć człowieka przez jakąkolwiek bądź teorię świata, do którego należy człowiek i jego historia, nie możemy uczynić nic innego, jak tylko starać się zapewnić nieograniczone znaczenie pewnej historii i pewnej literaturze. Są to problemy obyczajowości i smaku. Metafizyka rozwikłana rozkłada się przedewszystkim na estetykę i etykę; czy może raczej biografiją i historiją etyczną.

W każdym razie świat. ma tu przestać być tajemnicą.

Jeżeli może istnieć jakaś teoria świata, to tylko dlatego, że stanowi ona moment bardziej złożonego kompleksu – pewnego zespołu faktów psychożyciowych; by ten zespół trwał, musi on zabezpieczać swe trwanie. Więc pojmując, jak zabezpiecza się trwanie i ciągłość różnych kompleksów ludzkich, określamy metafizycznie te określenia, które usiłowały zawrzeć w sobie całą metafizyczną istotę świata.

Sorel twierdzi, że »jego racjonalizm« przeszkadzał mu w zrozumieniu wartości pierwszych prac B(ergsona).

Sorel niekoniecznie trafnie przypisuje to racjonalizmowi. Idzie o to, że na jego myśli ciąży usiłowanie etycznej, heroicznej natury – tworzenia życia, czyniącego zadość naszym wymaganiom. Nikt tak tragicznie nie pojął zagadnienia ciągłości dziejowej, jak Sorel, właśnie dlatego, że zburzył on kołysankę tak lub inaczej pojętej ciągłości automatycznej.

Ale możemy iść głębiej.

Myślimy pojęciami, określamy myśląc, czem mają być dla nas przedmioty, ale przedmiotów niema, są tylko momenty kompleksów psychożyciowych. W logice zachodniej tkwi postulat tworzenia samych tych kompleksów. Samorząd człowieczeństwa.

Sorel nie mógł wyrzec się wiary w wartościowość tej idei.

Czy jest to idea konieczna?

Odpowiedź musi tu być wyborem i czynem. Ale kto ośmieli się odpowiedzieć bez obawy bombastu?

Naturalnie Prometeusz-Feldman – ale nie każdy ma jego męstwo.

Tu jest p u n k t P a s c a l o w s k i d z i s i a j.

Czy człowiek może sobie sam wystarczyć? Czy sobie wystarcza? Ach mój Boże, mój Boże, człowieka, któryby miał dar Sofoklesowski >>stanowczego widzenia życia i widzenia w całości<<. Arnold określił Sofoklesa doskonale – ale sam dążył do tego tylko, by widzieć życie >>*whole and steadily*<<. Empiryokrytycyzm uznaje trwanie gatunku za dowód stałości prawd przyrody. Jeżeli

przyznać prawa postulatowi tego rodzaju to raczej postulat z Pascalem, Newmanem, niż Petzoldem.

11. I.

S w e d e n b o r g prawdopodobnie na zawsze już pozostanie zjawiskiem problematycznym. Niewątpliwie sprawa jest utrudniona przez to, że był on jednocześnie niepospolitym myślicielem i uczonym, ale myślicielem przede wszystkim, któremu należy się więcej niż wybitne miejsce w historii filozofii między Spinozą, Leibnizem, Kantem, – reformatorem religijnym szczerym i głębokim i jednocześnie jednostką o ponadnormalnym życiu psychicznym. Niewątpliwie także, czy na skutek nacisku, wywieranego przez to ponadnormalne życie i jego fakty na świadomość racjonalizującą – trudno orzec—ale prawdopodobnie osłabił w nim krytycyzm w stosunku do wszystkiego, co ukazywało się na powierzchni jego duszy w formie konkretnego obrazu, faktu o stanie zabarwienia uczuciowym, i alegorye, fantazje sentymentalno-poetyckie wplatały się w ten sposób w wydarzenia z ponadnormalnego życia. Gdy dołączymy do tego nieustanny wysiłek komentatorski, filozoficzny i reformacyjny, spostrzeżemy, jak skomplikowana i różnorodna tkanina psychiczna tworzy wątek jego pism. Może też przedwczesnym jest pesymistyczne twierdzenie, od którego rozpoczynam, ale badacz musiałby tu mieć olbrzymi takt, zresztą postępy psychologii ponadnormalnej mogą nas wyposażyć w metody, które uczynią zadanie o wiele łatwiejszym i prostszym.

12. I.

Rozpacz jest łatwiejsza od spokoju. Jasność myśli jest istotnie rzeczą najtrudniejszą i zarówno psychologicznie i moralnie, jak metafizycznie nie umiemy żyć, jak nie umiemy myśleć bez pomocy pojęć stanu ostatecznego. Albo niemożliwy ideał statyczny, albo bezkierunkowość. Moznaby upatrywać rys znamieny w tem, że zarówno Sorel, jak Carlyle są nieprzychylni Platonowi. Emersonowi dużo wybaczam za stronice o Platonie. Nie rozumiem, jak można się oprzeć czarowi tej istoty. Świętochowski raz na zawsze zmałał dla mnie, zszarzał, ukazał Robespierrowską węziczną serca, piersi i umysłu, gdy wygłosił swoje znane martwe zdania o Platonie. Takim sekciarzem nie może być człowiek o rodzaju umysłu Świętochowskiego bez poważnych braków w charakterze. Co nas mogą dziś obchodzić teorie Platona, jako teorie – mamy jego umysł, cudowny kraj o jedynym tu tylko spotykaniem światła i powietrza. Platon dla mnie jest faktem zmysłowym. Mam co do pewnych faktów kulturalnych te wycucia. Katolicyzm jest dla mnie pewnym połączeniem barwy i architektury, mgnienie oka błysk myśli trwającym widzeniem kolumn w pewnym świetle – nie umiem go określić: jest bogate, ma w sobie tony od złota do cieniów-fioletu i purpury, jednocześnie chłód i światło, wszystko w jednym odczuciu, które zestrąja, myśl w tonie czyniącym ją dojrzałą dla faktów o katolickiej strukturze.

Gdyby mię kiedy stać było: napisałbym książkę, niemożliwą zdaje się dla mnie, o katolicyzmie, bez obaw i trosk, czy byłoby to zgodne z kościołem, książkę swobodną, widzącą wartość i piękno bez obawy; będzie to nie całkiem ta sama myśl. Mówiliśmy dziś o wyte-

pieniu tygrysów i lwów. Było dla mnie jasnym, że będzie to strata, że wartość życia zostanie przez to zmniejszona. Nie chcę powiedzieć, że katolicyzm zdaniem moim powinien być wytepiiony. Gdy czytam: *ecraser l'infâme*, budzi się we mnie opór. Ale niezależnie od tych pytań, od pytań pożytku, szkody, ukazać budowę, prawo wewnętrzne życia, przepych tego organizmu. Nędza, nędza ludzi, którzy mogą tu mówić o Spinozie. Spinoza otworzył wielki świat, Hegel większy, Goethe jeszcze większy. Katolicyzm jest wspanialszy niż to wszystko. Szerszy, potężniejszy, zawiera więcej możliwości.

– A przecież, a przecież nie uda mi się ukryć, że poza tem wszystkim jest rozpacz! Nie jestem katolikiem, nic nie wiem, mam pewną sumę antypaty i sympaty, ale wiem, że wszystkie one pozostawiają mnie w świecie ludzkim. Nic poza tem. Nic, prócz pewności, że, tak lub inaczej, to nie wystarcza. Ale w tym momencie jest mi to raczej obojętne. Tylko już nie jak Renanowi lub France'owi. W tej chwili poczułem, że w zestawieniu z Lambem są oni parwenjuszami. Nikogo nigdy nie przekonam o tym fakcie. Wszech W. F. napisze, że jest to paradoks, chęć dziwactwa – wymieni szereg dzieł i w opinii Orkanów i Z. Nałkowskich zmiażdży mnie. Ostatecznie moi życzliwi będą zdania, że to ja przedstawiłem Lamba tak interesującym z mej własnej łaski i nadmiaru. A przecież to jest tylko prawda, prawda, która może mieć też swych fanatyków, ale nie u nas. Może Antoni Lange jest jedynym człowiekiem ze znajomych moich, dla którego ta sprawa, tego rodzaju sprawa nie byłaby obojętna. Źle robię myśląc tak rzadko o Langem. Jest on jednym z tych ludzi, o których myśleć jest dobrze, gdyż dusza myślącego zyskuje przez to zawsze. I znowu nie wiem, z kim go porównać. Jeden Ortwin. Ale Ortwin jest w innym rodzaju. Już zbyt silny może dla mnie. Mądrość Langego jest cichsza, bardziej uniżona. Brat Kobylańskiego Adolf Goldberg zostawił we mnie wspomnienie prawie równie dobre. Wspomnienie, którym można żyć. Rozpamiętując go, myśląc, coby zrobił wtedy lub wtedy, stajemy się lepsi. To są dobre znajomości. Ale poza tem wszystkim, jest zawsze jeden i ten sam fakt smutku i braku nadziei.

Dlaczego Ellis sądzi, że Marek Aureliusz uwierzyłby w każde słowo Blake'a? Nie umiem tego zdania pojąć, nawet się domyśleć kierunku. Co prawda, nie znam Marka Aureliusza – tylko z drugiej ręki.

13. I.

Dzisiejsza *Voce* ma artykuł o martwym punkcie w filozofii Benedetto Croce. Artykuł właściwie mało znaczący. Zresztą, co znaczy martwy punkt w filozofii? Żadna filozofia nie wystarcza samej sobie, nie może, nie powinna? Byłoby to zamachem na najgłębszą prawdę – konieczności każdej jednostki ludzkiej. Filozofia jest organem w ustroju duchowego życia jednostki, jest *j e j* filozofią; ale obok niej potrzebujemy poezji, nauki, charakteru, religii. Goethe zawsze wzór: dobrze jest o nim myśleć!

Pierwsze dwa utwory Ben Johnsona od razu wskazują, jak o wiele trudniej było mu przebaczać, niż Shakespeare'owi. Jest to także kryterium siły. Jedno z wielu. Sam Johnson ma w sobie zbyt wiele z *M a c i l e n t e*: w złą godzinę wywołał tę postać.

14. I.

Człowiek żyjący takim jak ja życiem może z łatwością ludzić się co do stopnia głębokości sądów i ocen swych, dotyczących czy to ludzi, czy to faktów. Można uznać za głos instynktu wynik naszych rozumowań, a szczególnie wynik pożądaną – pożądaną nie w interesownym praktycznym znaczeniu, lecz jako dowód samoistości, głębokości, jakiej dosięgły w naturze naszej przekonania. Pomimo to, zdaje się nie błędzę, gdy twierdzę, że

nigdy nie podzielałem kultu dla Napoleona, że o ile istniał we mnie sentymentalizm co do tego punktu, to właśnie działał on w kierunku narzucenia mi poczucia wielkości tej postaci. O tem, że teoretycznie uważam tego rodzaju szacowanie za słuszne, nie potrzebuję mówić, ale teraz wsłuchać się usiłuję w głos bezpośredni uczucia, zdaje się, nie zawahałbym się ani na chwilę w uznaniu całą duszą, że tacy np. ludzie jak Blake, jak Meredith, jak Balzac, jak Taine, jak Kant, jak Carlyle, jak Browning, jak Renan, są ważniejsi, godniejsi szacunku i zainteresowania. Ale niezależnie od tego Napoleon jest dla mnie postacią niemal komiczną. Naturalnie nie w estradowo-wodewilowym sensie. Nie wzrusza mnie, nie zadziwia, co najwyżej ogłusza. Bismarck zawsze wydawał mi się o całe pokłady człowieczeństwa potężniejszy. Tak samo Wielopolski, tak samo Cromwell – prawdopodobnie. Ciekawe, jak godzi się buddyizm, teozofizm, krańcowy spirytualizm – ale także krańcowy radykalizm naszej inteligencji z Napoleonizmem. Herbaczewski, jak zawsze, tak i tu, jest karykaturą, trafiającą niemal w sedno.

Abstract Human Blake'a i jego *To Thirzah*, całe zresztą *Songs of Experience* zastanawia mnie przeciwieństwem pomiędzy lekkością, jakby niedbałym i powierzchownym traktowaniem formy – a rozrzuconą potęgą myśli. W istocie jest tu cała rewolucja duchowa i kulturalna. Cały świat zarysowuje się tu jakby istotnie na widnokręgu dziecięcej wiadomości i spowiada się odrazu ze swych najpotężniejszych rozdźwięków. Fourierowskie uduchowione tylko i uszlachetnione widzenie odrodzonej natury i głębokie samopoznanie źródeł i przyczyn najwewnętrzniejszych, najbardziej ukrytych, nie mniej głęboko ujętych, *sit venia verbo*, jak zasadnicze fakty ducha przez Kanta—widzenia oskarżającej świat nędzy i światło odkupienia. Wreszcie to wszystko w tym przepysznym dyalogu między Bogiem a ziemią – w dwóch poemacikach otwierających seryę. A wiersz *do Tirzy* – gdzie znaleźć równie przekonaną pewność – tak bez przymusu beztroskliwą – gdzie znaleźć człowieka, któryby mógł stworzyć widzenie złotogrzywego ducha lwiego rodu? Ale tu z wiersza o Tirzy: łyzy, sentymentalny nawrót ku sobie, bojaźń o swoje ja, jak jest ono ujęte przez płciowość zadomowioną, łzawą, jako granica zacieśniająca nas we wszystkich kierunkach twórczości. A zmysły wyraźnie ujęte, jako kategorie twórczości nie jako organy biernej informacji. Świat musi najpierw mieć zapach. by miało powód istnieć powonienie. I my to tworzymy zapach, barwę, dźwięk, są to nasze organiczne dzieła, psychicznie absolutnie stworzone przez nas, wynalezione. B l a k e jeszcze setkę lat będzie paradoksem. Czy np. jakikolwiek stopień genjuszu krytycznego, może skłonić p. Biegeleisena a raczej obu ich do zrozumienia Blake'a, – przecież musieliby oni na ten czas zwątpić o filozofii mankieta, kołnierzyka i na czysto przepisane referatu.

15. I.

Jest to ciekawy odcień naszej psychiki: tchórzostwo wobec form. Ile razy zestawiam Blake'a z kardynałem Newmanem, doznaję uczucia obawy związanej zawsze z przeświadczeniem popełnionej niewłaściwości. >>Awful<< jednak był i sam kardynał, poufałość z nim nie daje się pomyśleć nawet po długim i możliwie zupełnym zżyciu się z jego dziełami. Mogę sobie wyobrazić o wiele łatwiej swobodę w stosunku do Pascala pomimo całej namiętności i energii. Tu jest coś innego. Tak lub inaczej, chcę czy nie chcę się do tego przyznać, działa system wartości uznanych i uznających zarazem: hierarchia, dziejowość. Newman jest egotystą, ale n i e jest nigdy sam, nie chce być sam, każde jego zdanie ma korzenie, sięgające głęboko w myśl poprzedzającą go. Dalej to, co można nazwać >>le chatié<< jego stylu, osoby. Nic ze zjawiska natury. Kultu-

ralność Newmana jest znowu rysem, który przestał być u niego cechą psychologiczną,— lecz stał się wartością religijną, jest on nawskroś przeduchowiony, tworzy sam siebie w żywiole duchowo ostającym się – sumienia i spełnianej prawdy.

Jest w samej rzeczy powinowactwo pomiędzy wyrafinowaniem wrażliwości artystycznej, a systematami deterministycznymi, materialistycznymi i t. p. *T r z e b a* mieć prawo uwiązać zjawisko za nieistotne, za nierzeczywiste, aby czuć się zwolnionym wobec niego, jako konkretnego faktu, od wszelkich zobowiązań. Gdy widzimy w nim tylko pozór, je i możemy wyssać z niego całą zmysłową treść. – Jest to- nieuniknione i raz jeszcze stwierdza, jak niezmiennymi są prawa kulturalnej krystalizacji. Trzeba wierzyć, że zmysłowe, – o ile zmysłowe nie ma żadnego teoretycznego, ani etycznego sensu – jest kolorową skrawką w nicości, by mózgi oddać się całkowicie wrażeniom, jako całościom zwalniającym, by mieć prawo zabłąkać się w każdej chwili, w każdej barwie jak w świecie z baśni, który nie prowadzi nigdzie. Tak u *Lefcadia*. Ale *Lefcadio* zna, czuje noc bezosobistą, ma szerokie aksamitno-czarne, faliste j a poza sobą. Pater jest zrośnięty z sobą i boi się nocy, – a wie, że zabłąkać się naprawdę nie zdoła i chciałby, by chwila zmysłowa mogła być *p r z e żyt a* jako chwila i jako nieśmiertelność, chciałby być wyzwolony przez wrażenie, w fakcie, dla tego jest on obrzędowcem i sakramentalnym, nie w szerokim i silnym, lecz raczej w ironicznym i żalonym, pomniejszającym go znaczeniu. Jest woń krwi w kielichu i w ofierze jego bogom jest zła wola, nic dziwnego, że tego rodzaju człowiek mógł upatrywać, a nawet znaleźć młodość w cyrenie.

Ale ty, który to rozumiesz i śmiesz go sądzić. Czemu sam ty jesteś? Już ci nie przychodzi nawet pod pióro – cóż mówić o sumieniu czystym. Szukający jęcząc – *cherche en gémissant*—to nie prowadzi nigdzie. Szysz wędrowcze. Masz w sobie odpowiedź i wiesz to, ale tj. *враги человека домашние его* on sam jako subiektywny obiekt swych rodzimych sentymentów, jako tchórzliwa litość, by dusza nie dostała kataru.

Ach, mój Boże, mój Boże, jeszcze mam możliwość w sobie, jeszcze wolno mi mieć nadzieję.

18. I.

Skąd czerpią życie postaci stworzone przez poetów i powieściopisarzy. Rozmawialiśmy o tym z Ortwinem we Florencji. Mój Boże, jakbym pragnął móc wyjść i spotkać się z nim, z Irzykowskim i zasiąść w jakiejś kawiarni, którą wnet przysłoni z przed oczu dym myśli, gęstszy, niż papierosów i cygar, wchłaniający gwar wraz z twarzami, szczelny, panujący podnieceniem. Ale mniejsza. Skąd czerpią życie? niewątpliwie z naszego trwałego zainteresowania. Rodzaj tego zainteresowania, trwałość jego – dalej środki, zapomocą których jest rozbudzone, wreszcie wyniki, jakie pozostawia w nas ono – oto różne punkty widzenia umożliwiające obszerną i obiektywną klasyfikację. Życie postaci ma za swe źródło podniecenie naszej myśli, podniecenie, które znajduje w sobie podniecie do trwania, odnawiania się. *O i l e* dzieje się to bezpośrednio, o ile zainteresowanie jest ciągle uczuwane i nigdy nie potrzebuje pomocy woli. przyjemności nawet, ale refleksyjnej – mamy do czynienia z tym darem, który posiada np. Sienkiewicz, w najwyższym stopniu. U bardzo wielkich pisarzy jak Balzaca, Stendhala fenomen nie ma miejsca, tu musi myśleć, jej interes, interes, który nie jest uświadomiony bezpośrednio, trzymać budowę i technikę, chronić ją od luk, przerw. *U D i c k e n s a* jest ściągłość współczującej ciekawości. Zarówno myśleć, jak i bezpośrednio odczucie buntują się często. U Thackeraya mamy pewne monotonne, ale miłe ciepło intelektualne.

Rodzaje zainteresowania, o ile rozważamy je jako przyczyny charakteryzacji życia wymagają subtelnych rozważań. Należy przede wszystkim bacznie śledzić, czy ma miejsce utożsamienie nasze z postaciami, czy też rzecz obywa się bez niego. U Dickensa utożsamienie jest powierzchowne, gdyż polega na niemej solidarności wobec czegoś, co zagraża. U Mereditha fenomen wręcz przeciwny, tu tworzy się z nas myśl bohaterów ich struktura umysłowa i sekret poetycki polega na tym, aby stworzyć stany uczuciowe, bezpośrednio przejmujące, a zawierające w sobie in potentia dzieje całego mózgu, aby wplątać nas i wetkać niedostrzegalnie w samo krążenie myśli. Opisy przyrody służą u Mereditha często przeważnie w tym celu. Nie jestem teraz w stanie śledzić wszystkich zakamarków tej myśli.

W czytelniku powieści wytwarza się pewne odrębne posłuszeństwo, pewien osobliwy, praktycznie określony choć trudny lub niepodobny do ujęcia w teorii ta.

Jest to stan duszy bardzo różny. Godzi się on nieraz z wielką bardzo domieszką dowolności t. j. czytelnik zdaje sobie sprawę, że iluzja powstaje tu za jego przyzwoleniem. Zdaje mi się jednak, że bezpośredni tragizm wyklucza tego rodzaju stan rzeczy. Możliwy jest on tam tylko, gdzie istnieje pewna domieszka ironii, i subtelne uwagi Ch. Lamba o prawdziwej gry aktorskiej mogą znaleźć zastosowanie i do tych zagadnień. Pewnego rodzaju fenomeny powieściowego złudzenia powstają tylko przy świadomym przyzwoleniu czytelnika i wymagają tej świadomości. To go zabezpiecza. Pozwala mu uwierzyć w świat o innych, niż nasze, współczynnikach przeobrażeń psychicznych i prawach motywacji. Stylizm i egzotyzm mogą grać tu rolę czynnika wywołującego, tłumaczącego świadome przyzwolenie. W formie tej można zbliżyć się do tragizmu.

Powieściopisarz nie apelujący do świadomego przyzwolenia musi działać zapomocą innych środków: ciekawości i współczucia, lirycznej hypnozy.

Cel jest osiągnięty, gdy w momencie intensywnej identyfikacji ujmujemy, nie zdając sobie sprawy, praw o krystalizacji danej jednostki, jej barwę psychiczną, żywą zasadę jej jedności, prawo rządzące jej fenomenami i gdy to prawo stanie się dzięki magii słowa jakością naszego wzruszenia. Jeżeli to zostało osiągnięte, jeżeli wzruszenie jest dostatecznie silne, jeżeli ma ono korzenie w głębszej naturze człowieka, powstaje to, co się nazywa kreacją indywidualności, żywy człowiek stworzony przez sztukę.

Krytyk i biograf mają do czynienia z temi samymi zagadnieniami, ale pracują w innych warunkach.

Pracują na podstawie i n t e l e k t u a l n e j pewności, że ich przedmiot był życiem, ale muszą też być zależni od natury tej pewności. Pisarz, któryby pisał biografię Blake'a w terminach jego mitu, lub Bergsona w terminach jego filozofii, gdyby to było wykonalne nawet, utraciłby grunt tego teoretycznego przekonania.

Styl Chestertona jest jednak wielką wadą tego pisarza. Trudno go czytać, nawet gdy go się musi podziwiać.

– Czytam Harrisa o Shakespearze. Nie przeczytałem jeszcze nawet pierwszej części, ale już widzę to przynajmniej, że Harris ma przed oczyma pewną żywą i ludzką postać: że Shakespeare jest dla niego człowiekiem i to człowiekiem, którego on zna i rozumie, rozumie. w jaki sposób funkcjonuje ten umysł. Gdy idzie o Shakespeare'a już to nawet ma wielkie znaczenie. Zazwyczaj Shakespeare reprezentuje pewien mgławicowy stan duszy, na który składa się wynikająca z naszej słabości mitologizmu chwiejność i obłuda. Nie jest hańbą, nie jest winą, jest nawet rzeczą dodatnią, a przynajmniej zrozumiałą, że się nie rozumie Shakespeare'a. To przeświadczenie, że się tu ma prawo nie rozumieć, zostaje skwapliwie wyzyskane przez wszystkie leniwe i obłudne siły naszego estetyzującego intelektu.

Tu mogą święcić tryumfy bez konieczności psychologicznego sprawdzenia wszystkie nasze estetyczne zabobony. Zazwyczaj nawet bardzo dzika teoria >>twórczości<<, musi wylegitymować się przez zarysowanie chociażby też fantastyczne, jak wygląda taka twórczość, jako przeżycie psychiczne. Ale od czegoś Shakespeare, Dante, Homer – najlepiej jednak Dante albo Shakespeare (oczywiście wedyckie hymny mają jeszcze więcej zalet, ale nie posiadają niestety, jak dotąd w zbrutalizowanym i zamerykanizowanym Zachodzie, dość powagi): nie wiemy, jak się to dzieje, jak się to dokonywa, ale się dokonywa i dzieje np. w głowie Shakespeare’a lub Dantego.

Ponieważ nasze głowy nie dorównują tym wyjątkowym. więc—ma się tu f a k t y , które posiadają wszystkie przywileje rozciągłości. Nie umiem sobie wyobrazić takiego procesu myśli, ale Shakespeare myślał tak.

S. T. Coleridge niewątpliwie zadał mocny cios temu stanowisku chociaż jednocześnie – takim już jest paradoksalny fatalizm jego myśli – on sam świadomiej, niż ktokolwiek inny tworzył mit Shakespeare’owski. Dla S. T. Coleridge’a Shakespeare był >>słonecznym okiem<< Platona, ucieleśnioną intuicją, nieskończonym potwierdzeniem, ale właśnie, aby dowieść sobie, że Shakespeare był tem wszystkim, burzył on mit żywiołowego Shakespeare’a, który sam nie wiedział, co tworzy. Dla S. T. Coleridge’a Shakespeare przynajmniej dla samego siebie był rzeczywistością psychiczną.

Właściwie dramat Prometeusza jest między bezwzględną samotwórczą swobodą i koniecznością, istnieniem. Shelley przekrzywia oś – czyniąc Jowisza okrutnym.

21. I.

Światopogląd takiego poety jak Shelley naraża na niebezpieczeństwa pedantyzmu każdego, kto chce go zdefiniować. Pamiętając o tem, jednak musimy starać się o możliwie najwyższy stopień określoności. Zawsze wydawało mi się, że w umyśle Shelleya idee Platonskie stawały się czemś nowem i nieprzewidzianem, że przeobrażały się one w zmysłowe i namiętne siły. Jeżeli na miejsce Boga Berkeleya postawimy namiętności i upodobania artystycznej natury ludzkiej, zdobędziemy klucz do budowy umysłowej poety.

Wątpię, abym mógł z tymi środkami, jakie mam i będę miał pod ręką, dopracować się do żywego widzenia indywidualności Shelleya. Dowden jest tak >>respectable<< >>v e r y nice<< a wszelkie wybory listów są wyborami.

Nie powinienem dać w siebie wmówić, że tego rodzaju krytyka, jak moja, jak ta, do której jestem zdolny, nie ma racji bytu. Moja krytyka wyrasta z filozofii, jest przede wszystkim i bardziej, niż czemkolwiek innem metodą filozoficzną. Nie filozofia metodą krytyki literackiej, lecz krytyka metodą filozofii. Kto rozumie moje stanowisko filozoficzne, nie może być zdumiony. Krytyka wciąga do współpracy właśnie historycznie ukształtowane życie ludzkości. Tu jednak chciałem zaznaczyć co innego. Manzoni oddawna wydaje mi się ważnym przedmiotem studyów. W samej rzeczy włoski romantyzm różnił się głęboko od niemieckiego, naszego, angielskiego, i gdy odwoływał się do tradycji narodowej – odwoływał się nie do żywiołowego życia duchowego mas bezhistorycznych, lecz właśnie do wysokiej i głęboko świadomej kultury. Manzoni usiłuje stworzyć demokratyczną literaturę, styl, bliższy życiu i sercu. Stworzyć. Niema tu złudzeń ludowości. Ali- na razie wiem bardzo mało o Manzoni.

Spirit of the age – czy nie możemy sobie wyobrazić momentu, w którym Shelley i kardynał Newman byli bliżcy niemal aż do tożsamości w swem widzeniu świata. Chociażby

już w chwili czytania owej *Kehamy*, której wciąż nie znam i której np. L a m b już nie był w stanie, nic chciał, czy nic umiał odczuć. Czem są nasze najbardziej zaostrome przeciwieństwa, zamknięte w granicach naszej generacji – w porównaniu do ludzi innych pokoleń, epok, ludzi nawet, z którymi teoretycznie czujemy się spowinowaceni. Postaw np. kardynała de Retza lub Campanellę obok Newmana i Shelleya – a cóż dopiero jakiegoś Egipcjanina, Persa, Hindusa. Właściwie można nabrać lekceważenia dla kulturalnych konstrukcji naszego wnętrza – gdy się zrozumie tragiczną władzę tego ostatniego.

Moja powieść na całe okresy czasu staje się dla mnie rzeczą trudną do zniesienia. Zdaje się jednak, że w porównaniu z *Płomieniami* stanowi ona krok naprzód. Znowu wystrzegać się muszę myśli, co też mogą prawdopodobnie mówić o tej powieści >>rodacy<<, jak oni ją będą widzieć, ale zamknąć się w niej, zamknąć możliwie najszczelniej.

Nieuniknionem jest i będzie oskarżenie cynizmu. Nie wybaczą mi ani Jadwigi, ani Gertrudy. A przecież są to postacie traktowane *modo geometrico*.

O zgorzeniu nie może być mowy.

Przeciwie zarzutem jest brak pierwiastka delia voluttà. Natalja Trawka i Flavel odgrywają wielką rolę. Scena między nią a księżną milcząca w oranżeryi. Domenico Giava – obok. Ten dygnitarz zakonu Jezusowego.

Następca tronu. To są tony sympaty. Z nich trzeba wydobyć silny ton Swiftowski. Ten rozdział ma wielkie znaczenie, jeden z kluczów. Klotylda w Rzymie.

Pius IX – N i e b a ć s i ę i być swobodnym.

Tak samo z Garibaldim.

Mazzini mię niepokoi, gdyż nie chciałbym go ani skrzywdzić, ani pozostawić w stanie papierowym. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że go nie lubię. Myślę, że nie lubię także Garibaldiego.

Co do Cavour'a nie mam tych wątpliwości: sympatya jest tu bliska i łatwa dla mnie. Cattaneo? Nie znam go. Myślę, że był naprawdę uczciwie borne poza czystym intelektem. Tu miał jednak więcej krwi i mięśni niż Ferrari, choć Ferrari jest o tyle świetniejszy.

Renan mnie ciągnie. Gdybym miał jego dzieła – napisałbym o nim dobre studjum. Papini wtedy w części miał tylko słusność. Mojej izolacji i ogołocenia nie umiałby sobie on wyobrazić.

Jak szczęśliwy mogłem być jeszcze w tych czasach, gdy czytałem po raz pierwszy Renan'a a dialogi, dramaty, inne pisma filozoficzne w Otwocku Matka moja jest nieszczęśliwa – to niezaprzeczalne. Nieszczęśliwa tak tragicznie, że boli sama myśl o niej, że nie wystarcza sił. by ją sobie wyobrazić. Czuję to wszystko. Moi biografowie (będę ich miał, to już nieuniknione i zresztą dla mnie obojętne) będą mówili o mojej obłudzie. To nie będzie całkiem słuszne. Szczerze cierpię. Od czasu gdyśmy się rozstali w ciągu roku 1901, przed dziesięciu laty, nie myślałem o niej nigdy bez bólu. Jednocześnie nie zrobiłem tysiąca rzeczy, które zrobić byłem powinien. Niektóre z nich były w mojej mocy.

Gdy rodzice w 1897 roku przyjechali do Warszawy los mój był postanowiony. Już był tylko wybór formy zguby i ta trwała aż do roku 1901. Gdybym nie był spotkał Toni, najprawdopodobniej fizycznie bym nie żył, a może wyrósłbym na zbrodniarza i zgnił w kryminale, w szpitalu waryatów. Przy matce nigdy nie zacząłbym pisać – a raczej nigdybym nie doszedł do poważnego traktowania pisania. Myśl była tu czemś komicznem. Czemś, o czem nie można było mówić w jej spojrzeniu nie czując się zażenowanym – to mi pozostało. Dla tego mój biograf, który mnie potępi, niech raczej podziękuje Bogu, że nie był mną.

O s t a t e c z n i e nie samo moje postępowanie, lecz jego forma gorączkowa, nerwowa, zohydzona przez śmieszne ubóstwo jest tu najboleśniej. Poza tą formą, ja tylko się

bronilem. Matka nigdy nie postępowała tak despotycznie z Feliksem jak ze mną, bo wiedziała, że on jest nerwowo odporniejszy. Ja przecież nie mam do niej żalu, przeciwnie, jestem ja winien, ale twierdzę, że nie mogłem nie być winien. .

A jednak wiem, że nigdy nie zaznam chwili wolnej od wyrzutów sumienia, że jest to słuszne. Tylko tak się już splątało, zwikłało wszystko, że nie wiem nic, – czy mam chęć poprawy, skruchy? Nie wiem. Wiem że cierpię, że n i e chcę cierpieć, więc staram się nie myśleć. To jest w tej chwili najprawdziwsze o tem.

22. I.

Starając się zachować spokojną ocenę faktów, zastanówmy się, czym była polska literatura Rzeczypospolitej niepodległej, pojęta, jako manifestacja natury ludzkiej i źródło głębokiej wiedzy o człowieku. Lękam się, że a n i jedno nazwisko nie wytrzyma najwyższej miary, że co najwyżej Skarga ma prawo do bezwzględного uznania w swoim zakresie, bo Kochanowski nie zastąpi ani Shakespeare'a, ani Danta, ani zapewne nawet Spensera lub Aryosta czy Tassa. Ale jeżeli już, to najwyżej może rościć sobie prawo do miejsca obok tych ostatnich.

Jak zimnie i płytko intelektualną wydaje się nam cała >>mitologizująca<< twórczość Shelleya w zestawieniu z Blake'm. Mamy tu właściwie zawsze do czynienia tylko z wzruszeniami, wrażeniami zmysłowej przyrody, które stają się potęgami intelektualnego świata, dzięki zasadniczym właściwościom tej transpozycji – Berkeleyanizmu i Platonizmu, która stanowiła filozoficzny światopogląd Shelleya. Prometeusz musi rozczarować każdego, kto podda czar analizie. Czar tego poematu nie jest zdrowy: nie jest to męzka radość myśli. W gruncie Shelley, który bronił bukolików i idylików z czasu upadku – nie całkiem był bezinteresowny. Jest to po części i jego własna sprawa. Nie sądzę, aby można było mówić z zupełną ścisłością o poezji przetrzeźni. Nie wiemy, w jaki sposób została ona tu wytworzona. Gdyż psychika jest tu bierna. Charakterystyczną już jest zaczarowana wędrówka Azji i jej siostry do jaskini Demogorgonu. Ale to jeden tylko rys. Trudno zdać sobie sprawę z praw tego świata. Naturalnie nie idzie o żadne poznawcze zgodne >>z rzeczywistością<< prawa, tylko o to, że nie jestem pewny, czy świat ten jest jednolity, czy nie powstał on przez niecałkiem organiczne sumowanie właściwości, z których każda oddaje tylko pewną stronę natury Shelleya, jego wymagań i interesów. W Prometeuszu w każdym razie grunt nie jest pewny pod nogami.

Naturalnie trzeba być przygotowanym, że będzie to uważane za nowy dowód moich reakcyjnych instynktów, jeżeli moje Shelleyowskie studia nie doprowadzą mnie do bardziej pocieszających wyników.

Można twierdzić wszystko co się podoba o *Prometeuszu* Shelleya za wyjątkiem tego, że jest to dramat. Nietylko w znaczeniu bardziej formalnym; ale wprost istnieje tu, jakby anti-dramatyczny, dominujący ton. Proszę rozważyć, np. to, co się dzieje z Azją i Panteą – coś w nich się dzieje, nachodzi na nie: tak samo, jak i na cały świat. Dlaczego w tym właśnie momencie? Dlaczego wogóle? Trudno o słabsze upozorowanie nawet związku, budowy. Niewątpliwie utwór powinien być rozważany porównawczo: z *Pastor fido*, z *Marinim* i t. p. Warto pamiętać, że zmysłowość, lubieżność w odczuciu amorka (?) seicentystów nie jest znowu tak obca Fourierowskiemu prądowi i typowi rewolucyjnej myśli. Powinowactwa z Pourieryzmem są u Shelleya nieustanne. To naturalnie nie będzie się wydawało błuznierstwem: przeciwnie. Dla mnie to ponowne odczytanie *Prometeusza* było wielkim rozczarowaniem, na które nie byłem przygotowany. Myślowo jest to utwór całkowicie

bezpłodny, nie wychodzimy poza ogólniki; ani jednej głębszej intuicji. Pozostaje Shelleyowska przyroda odurzająca i fałszywa. Jak strasznie niżej stoi *Prometeusz* w zestawieniu z *Nieboską*, *Kordyanem* – nie mówię o III-iej części *Dziadów*. Ale przecież nawet z *Kainem* nie można go porównywać. Co zaś już mówić o Ajschylosie. Chora to poezja, chora myśl, słaba dusza. Oczywiście jest, że świat S.T. Coleridge'a, poetycki świat zrealizowany w nielicznych utworach jest zjawiskiem zgoła innej potęgi. C e e c h i jest blagierem. Powtarza on, a nawet wymyśla ograne, stęchłe zestawienia, które dezorientują.

Nie należy mieć litości – trzeba być brutalnym w prawdomówności.

Czytałem także wczoraj po raz drugi *Sułkowskiego* Żeromskiego. Nimem wziął tę książkę do ręki przerzucałem dwa Zrębowiczowskie wybory pism Norwida. Naturalnie dzięki temu Sułkowski wypadł jeszcze fatalniej, chociaż nie sądzę, aby można było skrzywdzić tę rzecz najostrożniejszym sądem. Czy jest możliwe, aby Żeromski łudził się. Co znaczy ta opętana >>Muzyka<< w pewnych momentach. Czy istotnie przypuszcza on że >>to<< ma być nową formą, wogóle formą.

Pomimo wszystko, co mam do zarzucenia Micińskiemu jest wprost coś żalnego, że w tym samym czasie obok takiej *Teofano* może ukazywać się *Sułkowski*.

– Ani jednej żywej postaci, maryonетки poruszane niezręcznie i nie mające własnej historii.

Ani widzenia dusz, ani tragicznej myśli o epoce. Tego samego rzędu rzecz, jak owe bajki Sieroszewskiego, w których kretyńskie zwierzęta leśne i domowe z pewnością opłacają składki na P. P. S.

W porównaniu z *Różą*, nawet z *Dumą*, upadek. Ani jednej stronicy, do której chciałoby się wrócić. Nic, zupełnie nic.

Myśli są u Ż e r o m s k i e g o tylko po to, by budzić echa. Nie służą do poznania, ale wywołują wzruszeniowe następstwa.

W rezultacie nie mamy ani świata, ani osób tylko cienie sugestyonujące uczucia cieniem; a ci jego Włosi. Ta najnudniejsza w świecie Agnezina.

Naturalnie jednak *Sułkowski* będzie miał kilka wydań: to dobrze. Nawet – niechby Żeromski miał choć żyć z czego, nie jak polski pisarz, ale będzie uważany za literaturę – poezję w wielkim stylu.

Od czegoż Feldman, publiczność, która szanuje fakty dokonane własnych swych baranich zacierzewień.

Nudno i smutno; najzupełniej bezcelowo. Jasnym, jak słońce, że trzeba myśli, filozofii, entuzjazmu i fanatyzmu myślowego i jednocześnie takie już znużenie, takie straszliwe znużenie.

Ci panowie z *Kasy Mianowskiego* do 25 nie przysyłają swej kwartalnej >>pomocy<<.

26. I.

Wiek XVIII, był właściwie stuleciem czystej towarzyskości. Była ona żywiołem zasadniczym, w którym rozstrzygały się najważniejsze sprawy. Niewątpliwie w tym świecie toczyły się walki o byt również śmiertelne, ale broń była osobliwa. Ginęło się wskutek niepowodzenia towarzyskiego typu. Dało to połączenie miękkości i perfidy. Można zrozumieć, że dziwny dywanowy fałsz tego życia, w którym istotnie uśmiech, szept za wachlarzem zabijał – mógł doprowadzić J. J. Rousseau do szaleństwa. Tu jest jeden z punktów, co do którego zgodzić się nie mogę z Ortwinem. Rousseau jest i nam potwornie bliski. To nie Tołstoj. Pod żadnym względem. Ale wracając do XVIII wieku—to stulecie wytworzyło przepysznych magnatów życia, ludzi, których nigdy nie można było zaskoczyć w

stanie towarzyskiej bezpłodności, którzy promieniowali nieustannie energią i byli nie do zwyciężenia. To Sheridan, to Mirabeau, to zapewne Burke, do pewnego stopnia, to Beaumarchais. To jest dla mnie najpiękniejszy typ ludzki tego stulecia.

Tołstoj powiada, że *Król Lear* nie może się nikomu podobać, kto nie jest w stanie pewnej sugestii. Ale przecież cała sztuka, cały artyzm jest zawsze pewnym rodzajem algebry wzruszeniowej, wyzwalającej sugestię. Powiedzieć, że to jest *sugestia* nie znaczy jeszcze nic powiedzieć. Można mieć zaufanie do pewnych sugestii, chcieć ich. To się nazywa ciągłością kultury.

Nie lubię Tołstoja, nie uważam go za odważnego człowieka; jestem prawdopodobnie oschłą o ciasnej skali wzruszeń i sympatyi naturą, ale nie rozumiem, a właściwie nie szanuję odwagi nieintelektualnej, o d w a g i , która powstaje na gruncie odpowiadającego naszym wzruszeniom, czy wymaganiom intelektualnego obrazu świata.

W gruncie rzeczy do Tołstoja, do jego najpiękniejszych / zewnątrz wystąpień – w rodzaju „Не могу молчать” stosuje się to, co S. T. Coleridge powiedział o trudności myśli: Łatwiej jest wisieć na haku.

Swoją drogą tylko zaślepiony, zamknięty w swoim własnym stanie duszy poeta mógł nie rozumieć powinowactw. Czyż nie był w najpiękniejszych chwilach Tołstoj właśnie królem Learem i czy nie jest to najbardziej sprawiedliwy punkt widzenia, gdy traktujemy jego pisma, jako monologi tamtego potężnego widma.

W tej chwili nie mogę jeszcze ocenić, jak bardzo wiele zawdzięczam Harrisowi. Książka ta należy do dojrzewających z wolna po przeczytaniu.

Carlyle nie interesował się i nie widział powodu, dlaczego miałby interesować się Shelleyem; o Keatsie znam tylko jego bezwzględne powiedzenie o odgrzewaniu zdechłego psa. Ale co do Byrona mówi, że >>pomimo<< wszystko, było w nim coś, pewna siła. W samej rzeczy widzenie świata Teufelsdröcka i widzenie świata don Juana mają pewne powinowactwa. Keats rzuca przekleństwo z wyżyn idealizmu na bawiący się własną siłą cynizm. Shelley mówi, że hrabia Maddolo uwierzył w swą wyższość nad ludźmi, że ta wiara mu przesłoniła świat. Odnajdujemy tu więc rdzeń: Byron jest mniej zarażony ideologizmem, jego sentymentalizm posiada formę bardziej męską, i to do pewnego stopnia tłómaczy go w oczach Carlyle’a.

Shelley wierzył w absolutną samostwarzającą się swobodę: Browning nieustannie walczył z zagadnieniem tak pojętej indywidualności i jej możliwością istnienia pomimo to w świecie, w jakimś znaczeniu, jednym.

Myślowo tu jest związek.

Ale Cecchi ułatwia sobie sprawę. Frazeologia w krytyce niemal nieunikniona – a przecież trzeba dojść do całkowitej swobody od niej.

Ale, mój Boże, jak dotrwać. Nie może przecież Połoniecki z nadludzką cierpliwością opłacać koszty mojego dojrzewania umysłowego.

Kogo zaś obchodzi u nas ta praca. Nie widzi jej nikt nawet. Polskim literatom ja byłem potrzebny, jako ewentualny argument metafizyczny na rzecz wielkości własnej. Irzykowski miał słuszność: ja nie wiem co myślę, ale napewno coś myślę, bo Brzozowski byle chciał się mną zająć, to zaraz potrafi to wytłomaczyć.

Byle chciał!

Właśnie, że w stopniu nawet nieusprawiedliwionym zanika, prawie zanikła ta chęć. Napracowałem się i najeździli się na mnie aż do przesytu różni jeźdce. Mam już dosyć.

Widzenie świata Berenta, światopogląd Nałkowskiej, głębokość Żeromskiego. Nie; – nędzą polskiej literatury, jej potępieniem jest b r a k m y ś l i . Ani jednej myśli w całym

tym ruchu. Nic, co by zostało tu po męsku w sposób określony i dobitny pomyslane i przeżyte.

Ci ludzie wiedzą, że istnieje zawsze pewna potencja uczucia, gestykulującego wzruszenia; myśl była potrzebna im tylko o tyle, o ile wywoływała uczuciowe echa.

28. I.

Świat, do którego wprowadzają nas nowele Bandella, nie łatwo jest dostępny. Miłość jest tu nieustannie działającym interesem życia: jednocześnie jest ona faktem fizycznym, fizjologicznym widzianym tak jasno, że nie możemy nawet użyć wyrazu cynizm dla karczemności (?) tonu(?). Działa ona i to działanie jest uznawane, ale jakby bezpsychicznie. Ten Włoch wie, że w rozwoju tego faktu są fazy nawskroś uczuciowe i myślowe, monoidyzm erotyczny, uznaje on bez wahania konsekwencye tego stanu rzeczy t. j. bezwzględna niemal władzę miłości, ale te psychiczne ogniwa pośrednie nie interesują go. Istnieje dla niego jakby sam giest jednocześnie trywialny i wspaniały. Humor zdaje się być nieobecny, przynajmniej w głębszych formach. Nie możemy odnaleźć żywego centru tego świata: odbudować w sobie jego uczucia. Jednocześnie oschle okrutnego i władającego. Namiętności niesentymentalnej. To właśnie więc. Namiętność jest tu przyjęta jako fakt natury. Bandello przyjmuje ją, ale się z nią lirycznie nie utożsamia. Intelktualnie, ale tylko intelektualnie jest wobec niej swobodny. Niewątpliwie musiał on być drogi Stendhalowi i Mérimée'mu. Jednak jest on inny od nich. Ego, nasz twór XVIII i XIX wieku, choć już zakładane były w jego stuleciu podstawy, nie istnieje w jego pismach świadomie. Nie sądzi on namiętności i nie buntuje się przeciwko jej niewoli. Nie utożsamia się z nią. t. j. Nie dostarcza intelektualnych argumentów sile, która gdy działa, umie sobie tworzyć własny intelekt i własną logikę. Nie kosztuje go to powstrzymanie się od sentymentalizmu; on nie wie,—a przecież mógłby, bo Petrarchizm i anti-petrarchizm, — że się powstrzymuje. Dla tego tu niema metodologicznie tworzonego chłodu. Życie jest masywne. Ogarnia ta jego masa samego Bandella, ale nie przez mózg, lecz właśnie przez namiętność. Dla tego chociaż osobiście czytam nowele te z pewnym przymusem, nie należy się tego wyrzekać. Jest to trudno dostępny dla mnie, ale cenny kulturalnie stan duszy. Tędy się wnika głęboko w kulturę włoską, w duszę europejską z przedsentymentalnej epoki.

W moim artykule o rosyjskiej rewolucji i narodowych demokratach polskich, drukowanym w „Русскомъ Богатвѣ” i uważanym przez I. Daszyńskiego i C-*ie* za zdradę z mojej strony, jest pomiędzy innymi ostry i rzeczywiście możnaby myśleć więcej niż ryzykowny, nie dający się usprawiedliwić ustęp o „oświacie ludowej o. Bywały już chwile, gdy czyniłem sobie wyrzuty z tego powodu. Właściwie jednak rzeczy mają się gorzej i tragicznej, i wszystkie moje frazesy nie wyczerpały goryczy jaka jest w faktach. Trucizna musi być w słowach, jeżeli jest w procesie. Oświata ludowa jest życiem umysłowym na cudze conto, jest kombinacją obłudy, tchórzostwa myślowego, zanikiem twardej woli obywatelskiej i politycznej. Wierzy się w lud. W istocie nie wierzy się tylko w siebie. Ale wierząc w lud zyskuje się mistyczny grunt dla nadziei i programów politycznych, za które myśl nie pozwoliłaby nam przyjąć odpowiedzialności jako za własną działalność. Tam, gdzie widzimy niemożliwość i braki, tam wysuwa się mglista myśl, że na tem właśnie przecież polega posłannictwo ludu, że on dokonać zdoła rzeczy, których my nie umiemy nawet pomyśleć. Wolno więc nam jest mieć wiarę dziejową, nie mając woli. Temu ludowi my dostarczamy wiedzy i myśli. Ta wiedza ma być tylko pierwszym przedwstępnym krokiem. Może to nie być więc uznawana przez nas wiedza. Twórczość ludu z tej fazy wydobędzie prawdę. Na razie to nie jest prawda dla nas nawet. I tak wolno nam mieć wiarę nie mając prawdy, nie troszcząc się o nią. Wolno żyć poza dążeniem do prawdy, do krytycznie wytknięte-

go i sprawdzonego celu i zachowywać przeświadczenie dodatniości własnej, więcej: przodownictwa i poświęcenia. To są czynniki psychiczne z których wyrastają dziś nudy oświatowe. To jest przyczyna, że dzisiaj znowu wydaje się to drogą prowadzącą z rozbicia. Jest tu możność wyzwolenia się od odpowiedzialności a zachowania samoocen, do których prawo nam daje tylko odpowiedzialność skutecznie i czynnie podejmowana. Historyk fałszów, które żarły i trawiły, zatruwały i niszczyły życie myślowe naszego narodu, samą jego istność wewnętrzną, które zagrażają samemu naszemu istnieniu, nie powinien, nie może zapomnieć o oświacie ludowej.

Adonais Shelleya : tu wszystkie chwiejności światopoglądu stały się wartościami artystycznymi. Może to najbezwzględniej piękny utwór P. B. Shelleya. W *Cenci* należy wyzyskać problematy, które uczyniły Beatrice i starego potwora interesującymi dla poety. Uwaga Lamba o Marlowie i jego upodobaniu do niebezpiecznych, zakazanych stron życia. Tu nie o zakazaność idzie, lecz o ponadmoralność, o nietzscheańskie osamotnienie. Jest to dla nas ważne, jako możliwe światło, co do dalszego przebiegu rozwoju poety. Może jednak on jeszcze sobie tego nie uświadamiał i pisał Aufklarungsdrama. Zdaje się niezawodny wpływ osoby Byrona.

Epipsychidion piękne i godne, by Przybyszewski to przetworzył. Jak Novalisa. Nie przekład, lecz coś lepszego. Zawsze jednak nieunikniona pieczara i idylla. Wątpliwsze, niż *Adonais*, chociaż oddzielne miejsca najsilniejsze z wszystkiego, com u Shelleya znalazł. Porównanie z Novalisem byłoby wdzięczne.

2. II.

Oto może (łagodnie) choroba duchowa Irzykowskiego. Przystępuje on do każdej sprawy z punktu widzenia zapoznającego, że dla twórcy tę sprawę najważniejszą jest rzecz, aby była ona stworzona. Gdy Irzykowski ją rozważa, jest ona już. Wtedy koncentracja ta wydaje mu się dowolnością, niesłusznym upraszczaniem, uprzywilejowywaniem pewnej przypadkowości. Najważniejszym wydaje się dla niego zawsze to, aby sprawa była dla niego interesująca, nowa, lub by mogła być przez niego przedstawiona w sposób nowy, nie-praktykowany dotąd, interesujący. Stąd jego nudne i wstrętne muchołapstwo duszy. Basta. Dość o Irzykowskim.

3. II.

Irzykowski jest ślepy i głupio zły. Pisać Polakom, że historia sama się robi, że wskutek tego plany historyczne, o jakich pisałem ja, a przedewszystkiem już w swoim mądrym, głębokim i męskim artykule p. Koneczny, jest rzeczą niepotrzebną, jest wszczynaniem kwesty! sztucznych – to już szczyt ograniczoności. A ci panowie z >>Widnokręgów<< z tą samą dobrą miną dobrze wychowanych chłopczyków przełknęli artykuł Konecznego i drukują teraz kwasy starokawalerskie Irzykowskiego. To wydaje się im bezstronnością, równowagą myślową, powagą. Bóg wie wręczcie. Żadną miarą nie umiem sobie wyobrazić wnętrza głowy Biegeleisenów. Historia się robi sama. Nie sama, lecz przez olbrzymie maszyny woli wyteżonej przeciwko nam. Nie mogę pisać nawet dla siebie o tem. Pragnę zapomnieć o istnieniu Irzykowskiego; jest to prawdziwa zhora. Jeżeli zwaryuję, on i Herbaczewski będą moimi widmami prześladowczymi.

6. II.

Gdy spotkam *** będzie mi on znowu deklamował o niepospolitości umysłu Irzykowskiego. Mój Boże, jak mam już was dosyć, was wszystkich niepospolitych, ciekawych, wybitnych, prawdziwie oryginalnych. Jak kurz to przesłania słońce, dusi i nie daje oddychać.

Niema niepospolitego umysłu bez woli prawdy – a Irzykowski, a ***, a wszyscy dzisiejsi z młodo-polskiej kultury – nie wiedzą nawet, jak to wygląda. Nie rozumieją oni, że prawda poznania daje spokój i stanowczość i że tylko fałszywy umysł ma tu coś do powiedzenia. Naturalnie związek ten tak się właściwie przedstawia, że myśl, która daje woli naszej, charakterowi naszemu spokojną pewność, zaufanie – jest prawdą i to jest jedyne ludzkie jej określenie. Ale właśnie musi być ten charakter, ta wola – inaczej myśl Tersytowska, która nigdy nie znajduje spokoju i sądzi, że ta jej ruchliwość to właśnie niezaspokojoność, bezwzględność, nieustrasżoność dążenia do prawdy.

Trzeba ignorować – ignorować jakby nigdy nie istniał ów brzuchomówczy, świegotliwy element Tersytowski. Trzeba coraz pogłębiać fundamenty i coraz wyżej wznosić wały, mury, palisady i strażnice.

Być samym. Bez chęci nawet i żalu, by było inaczej. Nie polemizować. Pisać w stylu konstatowania i kształtowania rzeczywistości, zupełnie nie dostrzegając Biegeleiseniady, Irzykowszczyzny, Zofii Nałkowskiej i tutti quanti.

Naturalnie, *** nie wytrzymał i sprowadził sobie Weiningera. Po co, naprawdę, tym wszystkim dyletantom życia – filozofia. I te frazesy, te niepowstrzymane potoki frazesów. Boże, daj mi wzmacniać dnia każdego moją biedną wolę.

Nie daj się zahypnotyzować, że prace twoje są bezużyteczne, że nikogo nie obchodzą, nie trać z oczu, że tylko wielka systematyczność, tylko nagromadzenie wielkiego materiału konkretnego i opracowywanie go zawsze z punktu widzenia, z jakiego jest on dla ciebie ważnym i interesującym, może zapewnić znaczenie i zdolność trwania, oraz rozwoju twoim studiom. Cóż stąd, że taki Macaulay pozornie uniemożliwia samym tonem, stylem swej osoby stosowanie do niego miary, dajmy na to, religijnej. Wiesz, że religia odślania ostateczne tajemnice człowieka – nie lękaj się paradoksalności, lecz bądź stanowczy i charakteryzuj nie drżącą ręką. Nie zapominaj, nie zapominaj nigdy, że pomimo wszystko istotnie w każdej chwili wolnej usiłowałeś wzniesć głowę ponad piaskowiska porywające ci duszę i myśli – i badać, poznawać. To jest duma, to jest godność twoja. Urodziłeś się myślicielem i nie zastałeś miejsca dla tego typu ludzi w społeczeństwie. Od wczesnych dni dzieciństwa pojono cię automatycznie, upoczywie przeświadczeniem o >>nierealności<< twoich instynktów. Odebrano ci dobre sumienie w tem, w czym mieć je mogłeś. Miałeś i umiesz jeszcze mieć upartą niezłomną prawie wolę i nie masz przeświadczenia, dobrego samopoczucia tej woli. Tak żyłeś przez długie lata. Przez długie lata dojrzywał w tobie charakter, któremu byłeś wierny, ale jako występкови, jako brakowi charakteru. W ten sposób wypaczona dusza nie wyprostowuje się już nigdy. Jesteś garbaty moralnie i fizycznie. Teraz przynajmniej nie daj się zatrwożyć. Dzień po dniu zbieraj fakty, ucz się tworzyć je z własnego wnętrza, rozszerzaj łączność swą i pokrewieństwo z całym pracowitym i męznym gatunkiem. Nie dbaj, gdy cię będą posądzać, że czynisz to przez próżność, chęć popisania się nowenn nazwiskami. Miałeś tę wadę, masz ją w stopniu mniejszym. Nie jest to wada nazbyt trująca, lepiej byłoby, żeby nie była ona osłabła, jeżeli wraz z nią osłabnąć miał naiwny pociąg do zdobywania nowej wiedzy. Wola musi dźwignąć wszystko, czego już instynkt, pociąg i namiętność nie dźwigają. Nie pomoże, gdy będziesz mówił o wielkości umysłu europejskiego, musisz nakreślić jego dramat, nakreślić w stu, w ilu zdołasz, patetycznych, ale myślowo tylko – rozdziałach. Musisz ukazać całą dramatyczną nieprze-

widzianość, cały poli-morfizm prawdy, rozkochać w niej umysły, jak w poszukiwaniu przygód.

Mój Boże! Gdybym młodość spędził poznając ten dramat – dramat istnienia Michała Anioła, Lionarda, Galileusza, Kartezjusza, Bacona. Ojciec przecież widział, jak kurczowo zaciskały się palce na każdej książce, na literaturze Scherra, na XVIII wieku Schlossera, na Juljanie Schmidcie, na Brandesie, na każdym tomie, który przynosił mi wieści. Dlaczego mnie tak zostawiono, dlaczego skazano na ugorowanie, na bezpłodną fermentację – całe warstwy, całe zakresy mej duszy.

T u r g e n i e w – na zawsze powinno to być święte dla mnie imię. Ojciec dał mi Spasowicza (miałem 14 lat) – to nie był najgorszy podarunek – nie skorzystałem tak, jakbym mógł, ale skorzystałem z studyów o Hamlecie, Byronie. Te zaś o Syrokomli, Polu niewątpliwie głęboko wryły się w duszę i zrobiły dużo – dużo dobrego myślę. – Ale pamiętam tę noc w zajeździe. Przyjechaliśmy wtedy do Niemirowa po raz pierwszy, podać prośbę o przyjęcie do gimnazjum i papiery, znaleźć mieszkanie. W nocy przed odjazdem pisałem głupi, błazeński list do W. Rostworowskiego z refleksjami o Kalince, którego ledwie parę stroniec przeczytałem. Tylko jeden tom leżał wśród kurzu u Romualdów w salonie: II-a część bodaj drugiego tomu. I wtedy też ojciec zaczął mówić o Kremerze, myślę, że go nie czytał nigdy, a jednak mówił tym swoim zwykłym, nawpół drwiącym, nawpół skrępowanym przez coś tonem, gdy mówił o filozofii. Było niemożliwie już dużo cantu w jego biednej głowie, a takimi rzeczami, takim tonem robił mi on dużo krzywdy. Jest to nasza specjalność ten polski ton – szacunku, który nie szanuje – nie ma czem. Biegun przeciwległy życiu, bez sugiestyi a la Tolstoj. Turgieniew i Bazarów—tu wnieśli życie z sobą. Jest to wielka rzecz ten Bazarów.

Jakieśmy rozprawiali o nim, jakieśmy rzucali sobie wzajemnie w twarz „Рудина” – ja – Stanisław Dybczyński – co się z nim stało? – Рудинъ Mój Boże, pamiętam, gdy Dybczyński pytał się mnie z głęboką zaszępioną miną, czy właściwie, mojem zdaniem, Anna Karenina należała do d e m i-m o n d u. Zdecydowałem, że nie, choć Kareninej jeszcze nie czytałem, a o demimondzie jakież miałem pojęcia!

Przeklęta rzecz niektóre wspomnienia. Podłość i jeszcze raz podłość pewnych scen. A przecież było to rozprzężenie konieczne, pamiętam fakty, ale nie zdołałem ocenić krzywdy, jaką wyrządziłem sobie w tym ostatnim roku. A przecież, gdym się wtoczył z Nikolajewym, K..., M..., po szynkach i tych strasznych norach, które dziś przerażają w wspomnieniu, właściwie jak maniak rozmawiałem o Buckle'ach i Draperach – jak sztychł biedny Zieńkowski. Nie wielką ma wartość czystość fizyczna. Zachowałem ją faktycznie. Byłem z pół setki razy dla towarzystwa, po pijanemu z zwierzęcej ciekawości w domach rozpusty i odgrywałem tam rolę Pierrota – obserwatora, śmieszną i ohydną. Ale najstraszniejsza była ta noc, gdy 13 letni Adaś wyszedł za nami ze stancy i wślizgnął się do tej jaskini. Nas było przytem czterech ośmnastoletnich młodzieńców i patrzyliśmy z filozoficznym spokojem na dowody dojrzałości obiecującego pupila. To nie powinno być przebaczone. Jeżeli żyje ten człowiek, ma prawo żądać od nas satysfakcyi, najwyższej, niepodobnej satysfakcyi. T. zginął na delirium tremens, K. pewnie poszedł za nim. N. jest pewno gdzieś urzędnikiem. A ja? Zrobiliśmy sobie obaj wówczas ciężkie krzywdy. Analiza, skąd to zjawisko? Ten fakt Adasia, jego coup d'etat. Mój Boże, tego się biedny pan Jan pewno i nie domyślał. Biedne, biedne stare dzieci, ci dzierżawcy W*** – owi szatani kusiciele w opinii mej matki. Ach Mamo! Jak to wszystko dzisiaj przedstawia się matem, bezbronnem, śmiesznem. To byli ojcowie rodzin, ojcowie, którzy mieli wychować pod ciężarem niebywałego ucisku pokolenie mężów. Biedne, zahukane Prometheusze! A przecież. Pamiętam jak to czytało Sienkiewicza, pamiętam rozmowy o Wilhelmie III, tym właśnie Maryuszu, o jego „napoleońskiej a roli co do Polaków, pamiętam deklamacye, płacz ojca. Te same łzy, które i ja

mam już na poczekaui – nawet bez kieliszka, jak mój staruszek. A strach Białowskiego! A przedewszystkiem zwłaszcza matka sama. Płacz i śmiech – ani odrobiny żelaza w tem wszystkim. Grzegorz Winogrodzki pewno widzi to inaczej—ale on był zawsze idylikiem.

Publicysta – czy jest to Skarga lub Savonarola, czy Burkę, albo Blanqui, lub Mochnacki zawsze stara się (i w znacznej mierze automatycznie to osiąga) przedstawić samą rzeczywistość tak, aby pewna forma działania wydawała się nietylko jedynie zbawienną, wartościową, ale wręcz jedynie rzeczywistą. Wola tu urabia apercpcyę przedewszystkiem w samym publicyście, – a następnie już działając przez słowo żłobi dla siebie kanały i drogi w duszach i umysłach współczesnych. Przedewszystkiem, gdy idzie nam o krytykę, dbać musimy o to, w jaki sposób powstała i utrzymuje się ta wola. Zdanie Martineau (zapewne Jamesa, nie Henryety) cytowane przez R. Inge’a w jego książce o angielskiej mistyce, dostarcza nam tu metodologicznego klucza. W gruncie klucz to jest przez Newmana z przedziwną czarującą subtelnością raz na zawsze przysposobiony. Mickiewicz u nas (a całe chrześcijaństwo zawsze i wszędzie) był tej metody w krytyce i filozofii, w całym królestwie ducha – a więc myśli i czynu —zwiastunem i głosicielem. *Qui facit veritatem*. I on – tylko. Ale Martineau dołącza pytanie: jak ją pełni, jak często, w jaki sposób, co znaczy pełnić, słowem postępuje według najrdzenniejszych i istotnie drogocennych praw umysłu angielskiego. Freeman pisał *Growth of English Constitution*, ale dla filozofa pokusą jest inne zadanie: *growth of English mind* i może, jako podtytuł: lekcya logiki pogładowej, lub też: jak zbudowana jest dusza ludzkości. O potędze – i to właśnie filozoficznej, metafizycznej obrazu, jaki roztoczyłoby rozpatrywanie tego rodzaju – Polacy i nietylko Polacy nie mają wyobrażenia, a nie mnie widać danem będzie wniść do tego królestwa. Znów choroba nieoczekiwana i paraliżująca. Co się stanie z nami, z biedną myślą i biedniejszą jeszcze rodziną moją. To także należy do mojego facit. Ale trzeba mieć odwagę, a wtedy wrośnie ‘i ta choroba, jako władza w jakość umysłu i dzieła. Tylko że odwagi nie staje i żal myśli niedosnutych. Dość o tem. Milcz i służ. Ale myśli moje daleko... jak daleko odbiegły. Pierwotnie myślałem o Courierze i teraz ze zdumieniem widzę, że pozornie tylko był to ekskurs. Tacy publicyści jak Courier są straszni, bo wola działa w nich jako artyzm, jako rozplawiony w artystycznym, nie wzbudzającym podejrzenia wadzeniu, temperament. Ale tu dopiero *Qui facit* i Martineau’wskie kategorye i punkty widzenia. Pedantyzm? Tak w ręku pedanta. W ręku filozofa, poety, wejrzenie w głąb dziejów, duszy francuskiej.

10. II.

Podłe uczucie obawy śmierci. Trudno zorientować się, gdzie zaczyna się czysty strach osobisty. Pomimo wszystko myślę, że w stanie duszy, który mnie dręczy odnajduję tylko: obawę o Irkę i żonę i żal po przerwanem życiu myśli. Nie sędzę, aby było coś więcej. Staram się zajrzeć głęboko w duszę własną i nie znajduję w tej chwili tej s ł a b o ś c i . Ale pragnę żyć, ale lękam się choroby, ale doprowadza mnie do rozpacz mechaniczna, bezmyślna siła, która mnie dławi.

12. II.

Browning – jak łatwo sformułować, jak szybko, niedostrzegalnie zsycha się dusza. Bezżyteczność wszystkiego, nie zostaje nic z natchnień, nie zostaje nic dla nas – dla własnej naszej duszy. Cóż z tego, że jest to nazewnątrz utajone w możliwościach, które mogą się rozbudzić. Można znieawidzieć wszystko, co jest czuciem, jego wspaniałością i wy-

subtelnością. Tak to oddziela się i opada jak łuska. Dochowanie wiary samemu sobie – w czym? W postanowieniu, w kierunku życia. Frazes. Frazes demagoga. Jest potrzebna taka wierność. Ale jak zapewnić trwanie chwili drogocennej, widzeniu, wzniesieniu się duszy, jak je wrzeźbić w duszę, sprawić, by były w niej. Każdy człowiek ma takie chwile, w każdym człowieku jest potencjalnie pełny cykl ludzkiego istnienia, ludzkiego – a wszystkie kosmologie i metafizyki, to epizody biografii, to czyjś puls przy-spieszony, czyjś błysk oczu—to wszystko w człowieku. Każdy ma w sobie Boga – stworzenie świata – upadek – odkupienie – całą tragedię bytu, która okolona jest przez ciemną noc, nie mającą znaczenia, ani nazwy w ludzkim życiu. Co nie jest biografią—nie jest wogóle. Co sobie przypisuje ponadbiograficzne, ponad-konkretnie indywidualne znaczenie jest właściwie m n i e j rzeczywiste. Apparenti failure Browninga – trzeba długo i sumiennie myśleć o tego rodzaju utworach. Trzeba wżyć się w nie, w ich powagę dla poety, aby zrozumieć, jakim błogosławieństwem dla Anglii była jego twórczość.

Młodszość cywilizacyjna Polaków, pisał Szujski. Boże miłosierny, siwieją już włosy, starość odbiera rzeźkość

i sprężystość wiązaniom członków i wciąż nie młodszość – ale lekkomyślna, zuchwała niedorosłość. Zuchwalstwo jest bezpłodne w myślowym świecie. Warchoł nie widzący grozy, przekrzyknąć usiłujący tragizm nieunikniony—nie dojdzie nigdy do źródła prawd płodnych. Bezreligijność myśli polskiej jest zdolna doprowadzić do rozpacz. Tu wypowiada się jakby instynktownie wyczuły brak wszelkiego związku z długotrwałymi, powszechnie dojrzewającymi sprawami życia gatunkowego. Nie chcemy mierzyć samych siebie wielką miarą.

Jak strasznie i beznadziejnie jestem sam. Moi uczniowie, mój Boże, mój Boże, najbardziej już sam jestem wobec moich >>zwolenników<<. Znaleźć siły—by nazwać w potężnych symbolach – wszystkie choroby i zdradliwe obłudy polskiej natury – ukazać je świadomości w silnym i jasnym dziele.

Kroniki dramatyczne, R o z b i o r y , – N a p o l e o n i d z i , r. 31—63 to mogło być moje dzieło. Miej odwagę chcieć, miej odwagę dążyć, miej odwagę trwale, uporczywie, jednolicie myśleć.

Wola pisarza, opanowująca całą jego naturę, wrastająca w samo dno instynktów, od rzeni przeistaczająca i opanowująca naturę samą popędów, zmysłowego czucia—jest początkiem i źródłem stylu w wielkim znaczeniu. Miej odwagę – męstwo nieustannego przepajania każdej chwili myślą, nie toleruj w sobie żadnego obojętnego momentu, lecz staraj się dopracować łączności każdego atomu duszy z wielkim prawem. Niech to będzie twoją nieustanną religią.

Moi przyjaciele! Wiecznie zadowolony, ćwierkający***. Skąd wrosło w te wszystkie umysły przekonanie, że życie powinno być przyjemne, przyjemne dla nich, i że gdy nie jest, ma to jakiegokolwiek znaczenie godne obiektywnego opracowania.

Wnet wciąga się w dyskusję społeczeństwo, Polskę, byt, dlatego tylko, że tu w tej lub innej indywidualności nastąpiła przerwa >>w odczuwaniu przyjemności<<.

Gdy czytam książki krytyczne, filozoficzne pisane przez poważnych pisarzy angielskich lub francuskich, jak np. teraz R. Inge o mistykach angielskich, a przede wszystkim rozdziały o Wordsworth'cie, Browningu, doznaję uczucia, a właściwie widzę dokładnie, że byłbym w stanie pracować na tym poziomie. Przez to określenie >>na tym poziomie<< rozumiem, że posiadam aparat ogólnego przygotowania kulturalno-literackiego wystarczający, by nadać mojemu głosowi ważkość i konsystencję zewnętrzną, zabezpieczające prawo do mównicy. Zdaje mi się bowiem, że myślowo byłbym w stanie dać więcej, sięgnąć głębiej już dziś nawet na obcym terytorium. Ciężkie i smutne nieraz godziny przeżyte z Grammar of Assent Newmana, jego Apologią. i listami przyniosły mi nieskończenie wiele pożytku. W obcowaniu z tym potężnym dobroczyńcą dusza moja zyskała pewne powin-

wactwo ze spokojem, tak całkowicie jej dotąd obce. Nie potrafię wypowiedzieć, jak nieskończenie wiele zawdzięczam Newmanowi. Cierpię, że nie mogę mieć wszystkich jego dzieł. Jego książki są dla mnie jakby żywym, nieskończenie przekonywującym, opanowującym światłością głosem. Czytanie ich już jest zlewem światła i spokojnie ufającego rozumu. Być może nie dojrzeję nigdy do momentu, w którym potrafię spokojnie opowiedzieć, co zaszło w głębokich warstwach mego umysłu i woli za wpływem Newmana. Lubię jak zakłęcie te trzy litery J. H. N.—są one dla mnie jakby przypomnieniem. Nie sądzę, aby Plato przedtem był dostępny dla mnie, nie sądzę, aby dostępne dla mnie były ciche, głębokie, oceaniczne i międzygwiazdne regiony poezji. Wszystko to zawdzięczam Newmanowi. Ani Meredith, ani Browning, których nazwiska łączą się w mej myśli z tem trzecim w jednym uczuciu kultu nie byłiby podziałali tak trwale, ani tak głęboko. Nie zdobyłbym się na gorętszą sympatyę dla Wordsworth'a, dusza Coleridge'a nawet, którego wspólne nam – aż do przerażenia – słabości natury czynią mi tak blizkim, którego nie wolno mi zdradzić, gdyż jest mi bratem całych godzin upadku i wyczerpania – Coleridge nawet, pomimo, że te ciemne węzły zapewniać by mu się zdawały cieplejsze rozumienie – nie stałby mi się tak blizkim, gdyby Gram-mar of Assent nie wyposażyła mego umysłu w męski organ tolerancji. Tolerancja i sympatya stają się łatwo centrami rozkładu i dezorganizacji, jeżeli myśl musi je krzywdzić. Newman – J. H. N. uchronił mię od tego niebezpieczeństwa.

Pierwsze ogólne założenia mojej krytyki zostały wytworzone przez studia Taine'a i miłość do niego. Miłość, która znowu wyszła z nienaturalnego i występnego z mej strony zaćmienia. Potem był okres, gdy Nietzsche najsilniej ciążył nad myślą krytyczną. Nietzsche i oddzielne intuicje, natchnienia. Sorel wywiódł mię z tego stanu. Sorel, Bergson i Carlyle, ale etyczne jądro, pojęcie jaźni, osobowości – szczyt, gwiazda wykreślająca prawa tych wysiłków – była tu wciąż przesłonięta obłoczkiem, obłoczkiem, który powstawał z poczucia, że jest luka między postulatami myśli, a jej organem, że nie umiem własnego postulatu realizować, lecz muszę liczyć na pomoc elementu lirycznego i nawet – niestety (mea culpa, choć było to zawsze w znacznej mierze bezwiednie – ale było jeszcze nawet w Legendzie) demagogicznego. Dla tego z taką przyjemnością myślę o dojrzałej części Idej, dlatego jestem tak przywiązany do tego tomu, że jest on pierwszy, w którym ta hańba i ta skaza są już nieobecne. To zawdzięczam Newmanowi i to uważam za stwierdzenie, jak bezwzględnie zdrowym, harmonijnie-silnym był ten cudowny umysł. M. Arnold miał widzenie jego wyjątkowości. Niech błogosławione będzie imię nauczyciela mego i dobroczyńcy. Prawie lękam się, że go znieważam przez to powiązanie mojej biednej duszy z jego światłością. Nie śmiem pisać więcej, nie śmiem snuć w słowach tego wątku – modlitwą jego przyszłość moją, duszę moją składam, ducha opiekuńczego o wstawiennictwo proszę, o rozumiejące miłosierdzie i ożywiająca siłę. Wierzę w jego istnienie, wierzę, że żyje on w błogosławionej dziedzinie potężnej budowy, wierzę w moc wstawiennictwa, w błogosławioną siłę modlitwy i obcowania. Nie śmiem ja wznosić za niego moich modlitw. Stoję w milczeniu z rozwartą duszą. Modlę się o siłę, o zdolność wytrwania i o dobrotliwy wzgląd na dwoje dusz tak bezbronnych. Nie śmiem pisać, raz jeszcze czuję do głębi prawdę, straszliwą prawdę słów, które jutro – nędzo, nędzo i słabości – wydadzą mi się może uniesieniem. Złe, słabo może, ale wierzę, wierzę w tej chwili. Nikła jest ta wiara, może zelżywe jest jej samo istnienie. Nie mam innej. Tak wyzuta z prawdy jest moja dusza, z prawdy i odwagi wytrwania przy niej, tak wielką jest przemoc zimnych godzin, zelżywych chwil sceptycyzmu – a przede wszystkim. życia mojego, życia tak pełnego błędu i słabości. Ani postanowień nie chcę tu pisać, ani modlitw. Wierzę w cichą przemianę na dnie duszy, w obecność siły, która przeobraża, leczy i wyzwala. Nic nie mogę napisać więcej – już przemaga znużenie i przesłania jasność. Teraz mogłyby już tu być tylko słowa.

13. II.

P a ł u b i z m. Irzykowski też przesunął się po obrzeżu pewnego osobliwego mistycyzmu i jeżeli nie rozwinął go, jeżeli poprzestał na zdradzającym go poniekąd gorącym zobrazowaniu świata Machowskiego, to nie sądzę, aby było to skutkiem samej tylko wyłączenie jego wstrzeźliwości, która powściągnęła liryzm. On zapewne tak to sobie wyobraża i tłumaczy. Każde słowo, każde wypowiedzenie wypowiada, ukazuje, uwydatniając i naturalnie jednocześnie wykluczając, upraszczając, fałszując. Te dwie strony słowa są dwoma jedynie w abstrakcyi, w żywej rzeczywistości to jest jedna i ta sama właściwość, ten sam proces. Irzykowski widzi— stara się widzieć tylko tę wykluczającą, fałszującą stronę. Widzi, że poza granicami słowa pozostaje świat nienazwany. Niewątpliwie ma on tu słuszność, gdyby nie to, że u niego ta nienazwanosc, niespójność, odpadkowość z kolei stają się wykluczającą inną postacią rzeczywistości. Nie zdaje on sobie sprawy, że utrwała zawsze to, co nie stało się jeszcze myślą, lub nią być przestało: odpadki, skostnienia, niedojrzałości składają się na ten świat, jego zdaniem, prawdziwszy. Trudno chyba o drugi równie wybitny przykład, by ktoś uczynić zdołał siłę swą z tego, co jest słabością, z niezdolności decyzji, woli, stanowczości, jasnego życia, by ktoś umiał stworzyć grunt z braku zrozumienia i współczucia dla wielkich upraszczających i syntetyzujących interesów życiowych ludzkości. Dla tego tak trudno jest mi pisać o Irzykowskim, studium o nim musi być albo bez wartości, albo też nad miarę może dopuszczalną w krytyce—okrutne. Gdy się jednak zna naturę pisarskiego umysłu, można się obawiać, że prędzej, czy później zajdzie coś takiego, co wytworzy we mnie impuls nie do przewyciężenia i wtedy wypowiem się z głębi piersi. Nie lubię Irzykowskiego.

Matka moja jest najsilniejszym charakterem ludzkim jaki spotkałem w życiu. Tak ustalonej w samym organizmie, tak bezwzględnej, bez wysiłku sięgającej po każdy środek zarówno najniewinniejszy, jak najprzewrotniejszy – zimnej woli trudno sobie wyobrazić. Paradoks i tragedia tej duszy polegają na tem, że ta straszna siła działa w próżni i działając w ten sposób przepoiła się nią, stała się prawdziwie demoniczną potęgą wrogą życiu, niszczącą je w samych korzeniach. Obcowanie z tą kobietą zostawia w duszy pustkę ogołoconą ze wszystkiego—rozpaczliwą. Jej myśli, to co ona mówi, wewnątrz jej odbijające się w słowach, odruchach – robią wrażenie nagiej zwartej ściany, która idzie—idzie wprost na nas; jest to jakby grób, który wali się na nas. Po pewnym czasie jest się już zahypnotyzowanym, zdolność oporu zostaje zmniejszona; wszystko, co jest w nas chęcią życia, interesem życiowym staje się w naszych oczach winą: szukamy usprawiedliwienia dla każdego czynnego ciągnącego nas ku życiu, poznawaniu, tworzeniu stanu duszy. Nigdy nie wyleczę się z tego, co wytworzył, wyziębził, zniszczył we mnie wpływ Matki. Charakteryzuje to ***, że chciał on pisać do Matki ponieważ, r on miał na nią pewien wpływ”. Rzeczywiście nieraz myślę z uczuciem składającym się ze zdumienia, niedowierzania, prawie strachu o tem, jak właściwie myślą pewni ludzie. Na pewnym poziomie lekkomyślność staje się czemś prawie tajemniczym. ***– wpływ na moją matkę! Istotnie. I *** chce pisać dramaty: w samej rzeczy tu stwierdza on głębokość swego widzenia charakterów. Kiedyś, gdy te słowa będą czytane, *** będzie widział w nich moją przewrotność – niesłusznie. Nie mamy prawa narzucać ludziom naszych odrębności intelektualnych – ale mam prawo i ja przecież do swobody zostania z sobą, do widzenia i nazywania rzeczy. Ale umysł jest zawsze banitą, >>hors de lui<<.

*** może z całą naiwnością ignorować całe warstwy wypracowanych myśli, trwałych uczuć, właściwości woli – nie dostrzegać ich i ślizgać się z rozczulającym uśmiechem, nieustannie potracając o coś bolesnego i krwawego. To jest naiwność, szczerość, dzieciństwo. Ale biada, nawet oszczędzając to >>dziecię<<, rozumieć je w milczeniu dla siebie tylko i ulżyć sobie choć przez wypowiedzenie tego rozumienia. Zresztą ja tu zaprawiam się

w szczerości. Chcę, aby dalsze karty były coraz szersze, bezwzględniejsze, zarówno gdy idzie o moje wnętrze, jak i o innych ludzi. Mam już dość tych moich >>naiwnych<<, oddanych przyjaciół. Dwóch ludzi którzy żyją w kontakcie ze mną i trzeci wyjątkowy, bo w oddaleniu wierzy – Ortwin, Rafał Buber i Witold Klinger – oto właściwie moi przyjaciele. Rafał Buber ma tyle dobroci i miękkiego wycucia ran, że często samo jego spojrzenie już leczy z długich tygodni i miesięcy samotności i rozgoryczenia. Nie wiem, tak naprawdę nie wiem, czym zasłużyłem, abem w szlachetnym sercu tego człowieka zajmował tyle miejsca. Ostap Ortwin – tu poprzestanę na tem wspomnieniu. O nim chcę pisać dużo w tych czasach. O nim i o Klingerze i o Buberze zresztą. ***jest jeszcze chłopcem – dzieckiem, i przez fatalną kulturę towarzyską – szkodzi sobie nieustannie i uraża. Uraża w sposób nieraz trudny do zrozumienia. Chrześcijaństwo jest dobrą rzeczą już jako towarzyska szkoła. Myślę, że i żydostwo pewnie też. Ale dyletantyzm galicyjskich ćwierć-żydów jest gruntem, na którym nawet rośliny szlachetniejsze nabierają właściwości ciężkich do zniesienia – jak ciężkich. Eudajmonizm już przez to samo nie może być podstawą etyki, że najfatalniej bankrutuje, jako zasada, jako nastrój decydujący w wychowaniu. Wychowanie jest obok miłości płciowej dziedziną, w której e t y k a jako taka, a więc do pewnego stopnia niezależna od statusu qvo obyczajowości, prawa, wykazuje swą sprawczość. Myślę, że w dziedzinie stosunków erotycznych jak i w dziedzinie pedagogicznej, wychowania rodzinnego – przekonanie o >>prawie do szczęścia<< zostaje zdemaskowane bardzo szybko jako najfatalniejszy, arogancki, szkodliwy błąd. Ale naturalnie, by to widzieć – trzeba mieć oczy. *** jest jeszcze w fazie okularów.

Z planów moich, które powinienem wykonać. Powinienem, pamiętając o tem, com tu zapisał wczoraj i co jest niewątpliwie trzeźwą prawdą, którą tylko zmęczenie, pewne lenistwo, nuda i zniechęcenie wytwarzane przez moją gorzką i drogocenną zarazem samotność – mi przesłaniają. Mogę już dzisiaj pisać tak, żeby to, co piszę, wytrzymało miarę najkulturalniejszej publiczności europejskiej. Dlatego też powinienem mieć odwagę szczerości bezwzględnej. Mówić jasno, gdzie kończy się moje przygotowanie, określać jego granice, królewsko ignorować świat Feldmanów, Garfeinów Garskich i Irzykowskich. Pisać własną terminologią, własnymi stanowiskami, robiąc dla nich miejsce w świecie. Nikt inny nie był nim w innym znaczeniu tego słowa, niż to, w jakim ja jestem. Wiem, że mam, do końca życia będę miał mistrzów. Byłoby to oznaką deorganizacji umysłu, gdybym przestał myśleć o Newmanie, Platonie, Kancie, Heglu, Berkleyu – neskończenie wielu innych. Ale w tym świecie i ja jestem. Czyję, że umiem samoistnie żyć w tem powietrzu. Jest to wielkie szczęście. Samotność ukazuje w tym momencie swe drugie oblicze. Cichego szczęścia, spokoju, pokornego istnienia w bycie Twoim, Panie.

Wracam do planów.

Określić dokładnie rodzaj i granice moich informacji i napisać o umyśle Heinego. *Sartor Resartus* tu powinien być kluczem – a konsekwencye i analizy, intuicje i przeniknięcia powinny sięgać śmiało i nie uspokajać się, póki się nie osiągnie światła. Teraz nie przebaczę już sobie żadnej rzeczy, która zamknięta zostanie w mroku. Ani patos, ani ironia.

A k t o r s t w o w p i s a n i u. Jak nadużyliśmy słowa jako *naturlautu*. Do niemożliwości. I tu H e i n e może dostarczyć gruntu, ale uwydatnić powinowactwo z Nietzschem – tylko wydobyć na jaw piękne i okrutne dziedzictwo duszy Nietzschego. Ten rys, za który kochać nie przestanę i biada wszystkim, co go zdradzą. Za tę czystość jego, za skandynawską śnieżną nieprzystępność duszy, za granit i fiord kontemplacji, Z a t o jedno powinien on być czczony. Jaka szkoda, jaka szkoda, że znał on, że dał się uwieść tej >>dziewce<< Wagnerowi. Źle z każdym, kogo nie boli wagneryanizm Nietzschego. Nienawidzę Wagne-

rowskiej frazeologii. Jest to mój wróg osobisty. O Schopenhauerze nie mogę dzisiaj mówić. Prawie wszystko konkretne zapomniałem. Jeszcze nie umiałem czytać konkretnie. Dobrze byłoby go czytać tuż przy Heinem – ale nie odwlekaj. Napisz dumną przedmowę – a będziesz wracał i uzupełniał.

Dalej *Stirner* i Thoreau. Ach tak! Ciągnie do przejechania się po niemczyźnie, po hipnozie wszystkich Irzykowskich tego świata. Ten Stirner nadaje się do tego. Ach, nie oszczędzać go. Tłuc ze wszystkich stron. Ukazać ohydę i bezkształtność w zestawieniu z latyńskim światem, brudnowatość w zestawieniu z stu-zmysłowością i leśną duszą Thoreau. Trzasnąć w łeb srebrną trąbą, rogiem odważnego poszukiwacza skał, źródeł i męstwa – Stevensona, przywalić granitowym złodem, wśród którego ruiny, jak cud, w coś wszczepiły korzenie niezapominajki, dzikie głogi polne – Norwida. Cudowne piękno duszy polskiej. Tej duszy, którą dzisiaj zdradza wszystko. Boże mój, Boże mój, pozwól mi pracować, pozwól skupić siły. Daj jeszcze życie dla Polski.

Z rozkoszą, dumą – bezwzględnością po Stirnerze zawadzić Feuerbacha. Bokiem jeszcze tylko i zawsze śmiertelnie, nie w osobę, ale w zmorę tego narodu – wroga. Carlyle, Emerson, Renan, Newman – cios ostateczny. Potem Kleist – tu mężnie i z dumą. Miecz pochylić. Tarczę pod skrwawioną głowę. Nic z Nowaczynskiego. Głębokiej duszy Niemiec się pokłonić. Skrzyżować miecz przed cieniem Bismarcka. Ukazać widmo w grozie. Wieść je po szanćcach. Na Wawelu je postawić. Tam rzucić wyzwanie żelazną mową. Niech się obudzą. Śmiało krytykować Wyspiańskiego – Irzykowski, Herbaczewski et *C-je*. Sz. Ma pewne zastrzeżenia. T. Nie wie, >>czy Wyspiański patrzył na świat historycznie<<. Kańczuga na rozzuchwalone plemię. Na zadomowiona małość duszy polskiej. *Kipling* i *d'Annunzio*. Głęboko można tem korytem wpłynąć w duszę nowoczesną. *D'Annunzio* – i Włochy. Ukazać próby nowego odrodzenia. Cień *Mazziniego*. *Carducci*. – Żelazna dusza *Crispi'ego*. Boże, daj siły, daj siły.

– *Carlyle*, *Michelet* i *Renan* – krótkie charakterystyki i wywody.

Jerzy Sorel – jako mistrz moralnego życia epoki, jego sumienie.

Poezya Wordsworth'a i nauka moralna Kanta – wykazać powinowactwa i różnice, ugruntować religijne pojęcie poezji.

Wreszcie moje studium o filozoficznym znaczeniu pojęcia Boga, a raczej coś całkiem nieobjętego przez ten tytuł – obronę religijnego życia, atak na optymistycznego filistra, szlachcica i żyda. Jowialskiego i Paplana. Daj się przejechać Panie – a do gruntu po tem tałatajstwie, splukać głupotę i miałki wrzask z polskiego życia. Nie dawać pardonu rozkochanym w sobie skrofułom. Narcyzowości nóg wykrzywionych przez chorobę angielską nie szczędzić. Walić z ramienia w szpetotę. Bić śmiechem. Tańczyć na pobojuwisku. Sprawić stypę. Z czaszki *Feldmana* pić za zdrowie wiecznie żywej duszy polskiej. Irzykowskiego padlinę na pożywienie chartom, które szczują zajęczo kręte omamienia dzisiejszej kultury niemieckiej.

Sekret, sekret poliszynela. Literat polski instynktem czuje, że literat niemiecki jest rozwinięciem tego typu, który w nim bez jego winy jest umęczony. Tu bolączka patryotyzmu. Ale kto was trzyma. Odstępował bym was tuzinami *Pressom*, *Blattom*. Och. Boże! Niemcy dziś znowu nie mają kultury. Są znowu w stanie z przed *Goethego*. Znowu lokajstwo wszystkich stylów – tylko dziś zarozumiałe. Lokaj się dorobił. Jest baronem na *Sadowej* i *Sedanie*. Styl niemieckich modernistów, wszystkich tych *Schaukalów* etc. etc. I to chce pisać o *Francyi*, rezonować o *Włoszech*, czuć dziewicze rycerstwo angielskiej poezji. *Ibsen* niech wam wystarczy. *Ibsen* właśnie. Ani go za dużo, ani za mało. Pomimo, że jest tak wielki. Pomimo *Kronpretendentów*, *Gynta*, *Dzikiej kac:1;i-* pomysłu: Zbudźmy się i tego—skąd mu to – cudownego dyalogu *Hildy* i *Solnesa* – *Raubvogel!* *Poezya!* A ja wciąż nie mam tych pośmiertnych 4-ch tomów. Nigdy nie uwierzę, aby *** nie był w stanie wy-

dostać ich dla mnie. Ale oni wolą uczynić ofiarę z życia. Panie – broń mię i dziecka mego od sentymentalistów.

Dla tego wojna i) płacziwemu tonowi Ireny, 2) jej zwyczajowi prezentów, 3) jej manii troskliwości, choćby o nas, 4) powolności mówienia. Rozwijając stanowczość, geometryczną precyzyję, stalowość, fehmistrzowstwo duszy.

14. II.

Znaczenie *Lorda Jima*. Zabija go utrata własnego szacunku, poczucia własnej godności. Od tej chwili ginie dla niego cały olbrzymi świat, który materyalnie go otacza, w którym bierze on udział. Problem przybiera tu postać bardziej skomplikowaną, nowoczesną, wskutek tego, że ten świat materyalny azyatycko-tropikalny jest niewspółwymierny z naszą etyką i wobec niego nasza etyka, nasze sumienie, bezwzględne nakazy stanowiące samą istotę naszej osobowości są tylko postulatem, czemś względnym, przypadkiem, który walczy dopiero o swoje istnienie. Ten świat został tu schłonięty przez wir sumienia biednego lorda Jima, dla którego jak dla Makbeta według głębokich słów S. T. Coleridge'a wszystko stało się wewnętrznym i ta ruina wewnętrzna z kolei stała się ruiną życiową. Bezwzględnie dla samego Conrada tu jest problem, co do którego się waha on. Jego głęboki nihilizm jednak czuje się czemś innym wobec >>oryentalizmu<< i cofa się przed nim. Teraz staje się dla mnie ciekawym pytaniem psychologicznym dedykacja jakiejś powieści Conradowskiej Wellsowi jako monografiście Kippsów. Kipps—to lord Jim, który nie wyjechał. To lord Jim, który nie wie, z jakiej otchłani wydobyły się jego nie wystawiane na próbę zachodnie pojęcia >>o postępowaniu<< etc. Ale Wells jest raczej zdania, że pewien amorfizm moralny, który nie dopuszcza do tego, aby jakieś załamanie życiowe stało się ostatecznym – jest raczej pożyteczny. Ludzie muszą być brudnawi i muszą się nauczyć, że to nie powinno, prowadzić ani do rozpacz i samopotępienia, ani do ugrzęźnięcia w brudzie. Tono Bungaj, Kippsv. współczesne, opisowe powieści Wellsa przynoszą z sobą ten ton bezosobowej wyrozumiałości. Życie jest procesem w tak niesłychanym stopniu przekraczającym zakres naszej osobistej kontroli, że nie możemy uważać odpowiedzialności osobistej za hipotezę czyniącą zadość wszystkim stronom rzeczywistości. I tu także stosować się daje ów sceptyzm instrumentu: gdyż ostatecznie ja zachodnie jest hipotezą, instrumentem czynnym, etycznym, tak jak pojęcia matematyki, przyrodznawstwa są hipotezami teoretycznymi. Ciekawość moja więc dotyczy tego, czy Conrad dedykuje myślicielowi, czy też artyście, powieściopisarzowi, który w samej rzeczy wypracował nową formę obyczajowej powieści – formę nie dającą się zaklasyfikować ani z Balzacowską, ani z Zola, ani z Rosyanami, (pomimo pewnych powinowactw, które mogą uwieść).

15. II.

Muszę jednak właściwie sztucznie hipnotyzować się, by utrzymać wolę pisania. Teraz myślę np. o rzeczy o Heinem. Już naprzód widzę wszystkie nieporozumienia, całą złą wolę, która udawać będzie z taką maestrią, że usiłowała rozumieć. A przede wszystkim moi tak zw. zwolennicy. Jest dla mnie rzeczą pewną, że człowiek o pewnych zdolnościach i o szczerzej woli myślenia i poznawania byłby w stanie z dotychczasowych moich prac wyłuskać już całą organiczną moją filozofię. W tym kierunku jednak nie można zauważyć żadnych symptomatów. Bez końca i bez końca te same szematyzmy i frazeologia. Jak mi to

obrzydło, jak strasznie już obrzydło to paradoksalne rzemiosło filozofa i analityka kultury w Polsce. To nierozumienie samego poziomu w mojej pracy, to bagatelizowanie jej w samych pochwałach, a przede wszystkim sami ci chwalcący. Co jest pomiędzy mną a nimi? Dziesięć lat, dziesięć lat obiecuję sobie nieustannie, że wreszcie natrafię na żywy nurt, który wyniesie mnie na swobodną przestrzeń. ***! Czy choćby na jedną chwilę rozumie on, czym jest dla mnie niemożność działania. Dość, już dość, gdyż trucizna tych refleksji nie da się ubezwładnić przez wypowiedzenia.

20. II.

Biegeleisen właściwie zasługiwał by na solidną odprawę. Jest on bardzo przekonany o poważnym znaczeniu jego argumentu z czasem dysypacyjnym. Jest to dość śmieszne. Czas dysypacyjny jest niewątpliwie inną, niż czas astronomiczny postacią unormowania stosunków między *duree* w nas, a różnemi *deree* poza nami. Należy on jednak do tego samego typu konstrukcji, co i czas astronomiczny. Różność tych konstrukcji jest tylko pięknym potwierdzeniem (ale już blizkiem powierzchni, drugorzędnym) widzenia rzeczy Bergsona. Chłopieta ze szkoły Twardowskiego nazbyt są przeświadczone, że wiedza bywa solidną tylko u nich. >>Grzeszy niewiadomością<< wyraża grzeczne przypuszczenie pan Biegeleisen o Bergsonie. Filozof może nie znać wszystkich faktów – choć powinien znać ich jak najwięcej, ale jego zadanie zaczyna się dopiero na podstawie tej znajomości, jako wyczerpująca i wszechstronna eksperymentacja wewnętrzna. W tej specyficznie filozoficznej dziedzinie Biegeleisen jest całkowicie bezsilny i nieustannie zdaje mu się, że ten lub ów fakt jest ostatecznym argumentem przeciwko jakiemuś widzeniu rzeczy, dlatego tylko, że nie umie wykonać ani jednej orientacji filozoficznej, że fakty tkwią w nim martwo, że słowem filozofia jest dla niego równie obca, jak literatura, poezja, historia, polityka. Być może, że ma on jakąś wartość w jakiejś dziedzinie. Nie umiem sobie jednak wyobrazić, jak ta dziedzina wygląda. Nudzi mnie ten mój akademicki i uroczysty krytyk. Brr!.. Wizya pralni, kołnierzyków, mankietów—całej galicyjskiej anglomanii. — Respectability! Niech was dyabli wezmą!

Pan Brzozowski, pisze Biegeleisen – uważa stanowisko Bergsona za dowiedzione. Niewątpliwie— choć nie w ten szkolarsko-prawniczy sposób, w jaki rozumuje czarno-żółta głowa redaktora Widnokręgów. Bo Bergson może tu pozostać poza dyskusją. I wcale w innej drodze można dojść do tych samych stanowisk, trzeba dojść, jeżeli się jest filozofem t. j. myśli się całokształtem swego moralnego doświadczenia. Właściwie nieustannie rzeczy toczą się o to: w jaki sposób jakakolwiek treść intelektualna może wyrażać byt pozaludzki, być z nim zrównana. Jeżeli idzie panu Biegeleisenowi o autorytety – stary Berkeley wystarcza. Ci panowie mają przed oczyma zaledwie mały zakątek umysłowego świata, jedynie pewną dziedzinę poznania naukowego. Ona im przesłania wszystko dla braku doświadczeń wewnętrznych i tej potrzeby, która prowadzi do ich zdobywania. Gdy wchodzi oni do filozofii—przestają być artystami, poetami, obywatelami, historykami, ludźmi. Po tem załatwiwszy się w odpowiadający takiemu zacieśnieniu karykaturalny, biurokratyczny sposób z filozofią, wracają do życia.

Poezja Shelleya istotnie jest fenomenem trudnym do scharakteryzowania. Wątpię, czy istnieje tu coś poza stopniem niejasnej tendencji. Ani Wordsworth, ani Coleridge nawet, ani Lamb (pomimo ciasnej sfery), ani tembardziej Blake nie mogą być porównywani pod względem głębokości i jedności z Shelleyem bez wielkiej dla tego ostatniego ujmy.

Trzeźwa, analizująca myśl dokładnie zdaje sobie sprawę, jak przypadkowo, historycznie i zewnętrznie uwarunkowanym jest tworem taka kategoria klasyfikacyjna, jak romanizm. Zewnętrzna historia tego terminu byle tylko z odrobiną w głąb sięgającego krytycy-

zmu, oraz zmysłu i zainteresowania psychologicznego, przeprowadzona – byłaby niewątpliwie najlepszym wstępem do filozoficznych roztrząsań. Historia prawdziwa, rzetelna, odtwarzająca proces jest celem znowu tego przejściowego filozoficznego stadyum. Ale czy to wszystko przeszkadza mi ujmować myśli własne w rozumowaniu i rozmyślaniu o romantyzmie – t. j. czy przeszkadza to mi wszystko nadawać ten tytuł moim myślom. Chory jestem, nie mogę, nie chce mi się pisać.

Balzac dąży w swych powieściach do wzbudzenia i utrzymania interesu dla rozwoju namiętności, traktowanych niezależnie od wszelkich sentymentalnych domieszek. Nie idzie mu o współczucie, ani o wzbudzenie tego samego tonu, lecz o jasnowidzenie intelektualne ukazujące namiętność w całym jej pozaetycznym, pozaracjonalnym charakterze. Osiąga on to, wzbudzając w nas i utrzymując poczucie tej rzeczywistości, która jest przez namiętność zagrożona. Interes dla tej rzeczywistości daje ciągłość tym powieściom, skupia uwagę. Teologia i socjologia Balzaca są elementem integralnym jego artyzmu. Ciekawy musi być stan umysłu krytyków, zdolnych wyobrazić sobie, że taki jak Balzac pisarz, może wprowadzać do swego dzieła elementy absolutnie pozaorganiczne. Ale przyjmują oni rezultat – styl Balzaca, i przyjąwszy, myślą, że teraz mogą usuwać tony, z których ten styl się składa.

Nigdy syntetycznego ujęcia—nigdy historycznej perspektywy – nigdy idei oświeclającej wielkie dziedziny faktów. Któż jeżeli nie Irzykowski powinien był spostrzedz, że dramaty Kleista, Hebbla (Bernaner) są doskonałą antytezą Samuela Zborowskiego, ale Irzykowski woli pisać >>lombard paradoksów<<, kuźnię bluźnierstw i inne głupstwa, nad którymi unoszą się tumany kurzu i moli. O Galicyo!

11 marca.

Muszę zapisywać myśli w miarę, jak ukazują się one. Przekonałem się, jak łatwo one giną. Ale zmęczony jestem i w ciągu pisania ginie mi barwa, ton, ciepło. Poprzestać muszę na suchej notatce.

Kobiety Tomasza Hardy'ego. Zasadniczy punkt jest stosunek intelektu do płci. Intelekt nie chce utożsamić się z płcią. S u e w >>Judzie<<. spogląda z przerażeniem, nieufnością na własne swe j a płciowe. E u s t a c j a pragnęła uwierzyć w swą umysłową naturę, pociąg do interesującego kulturalnie, interesującego jednak właśnie dla tego, że jest ona w stanie niepokoju i rozdzielenia. Laodiceanka spełnia obowiązek, udziela satysfakcji. Coś podobnego i w Lady Constantin(?). Mistrz kobiecej psychologii, głębszy niewątpliwie od Strindberga.

5 kwiecień.

Coleridge mówi o Sir Tomaszu Brownie, że był on bezwiednym Spinozystą; podobny pogląd wygłasza Saint-Beuve o Montaigne'u. Spinozizm polega, jak sędzę, na tem, że uważamy kulturę w najogólniejszym znaczeniu tego wyrazu za wynik nieznaney nam wartości, że jest ona dla nas skutkiem i formą istnienia niepoznawalnej istoty; sam punkt widzenia zarówno Heglowski, jak Vica, Newmana, mój etc. uznaje wszelkie wartości i wszelkie właściwości wartości za wyniki i formy istnienia kultury. Swedenborg mówi: — Biada każdemu, kto na początku kładzie naturę. Stosunek do Boga jest sumą i istotą wszystkich tych stosunków, stanowisk, sił, dążeń, które tworzą kulturę. Kultura jest wyjściem poza człowieka aktualnego, by go przetworzyć z poza niego. Nadludzkie tworzy człowieka i określa go. Cała przyroda trzyma się na nadprzyrodzonym. Są to nie poglądy,

lecz głębokie i niezaprzeczalne fakty. Stosunek do Boga musi zawierać w sobie moment, który nie pozwala mu stać się częścią, e. choćby tylko sumą człowieka aktualnego. Nie może on być pojęciem. Bóg – pojęcie jest tem samym, co natura. Takim jest znaczenie Trójcy. Czy to widział w ten sposób S. T. Coleridge? Chcąc zrozumieć tajemnicę Trójcy powinniśmy ją wyprowadzić z istoty współżycia ludzkiego. Bóg jest podstawą i źródłem wszystkich stosunków międzyludzkich. Czy wyprowadzić w ten sposób ten dogmat znaczy to odebrać mu walor religijny? Bynajmniej. Życie ludzkie jest religią, jako fakt i uświadomienie go, uświadomienia, ujęcia tworzy religię jako myśl, wiarę, świadomość. Człowiek jest tak zbudowany, że dążąc do poznania siebie odnajduje Boga. Ale wtedy Bóg jest czemś tylko ludzkim? Nadzwyczajne. Jak gdyby prawda była pozaludzka. Poznając siebie człowiek poznaje budowę bytu, budowę prawdy, wrasta w nią myślą, tak jest w nią wpojony istnieniem.

W powieściach Hardy'ego są komedyczne charaktery, ale niema naokoło nich komedycznego nastroju. To co czyni ich komedycznymi staje się w odczuciu autora poważną rzeczą. Cięży na nim. -Meredith współczuje ze zwycięstwem, solidaryzuje się z nim. Hardy z dźwigającymi barkami. Jest w nim pewna cyklopiczność. *Geist der Schwere*.

Wells nie ufa doskonałości. Zarówno w poznaniu, jak w etyce. Stąd jego powiedzenie o Chrystusie. Stąd pewna blootwise(?), obrzękłość w jego powieściach. Jego ludzie są z tłuszczu, mają na sobie i naokoło siebie jego pot i kurz. I w tym wszystkim >>beauty<<. To jest niewiadome dlaczego podoba się to, nie mające właściwie nic coby usprawiedliwiało to podobanie, to astmatyczne, zadyszane, brudnawe istnienie. W Twainie niezrównanie więcej zdrowia. Doznaję wrażenia, że słyszę samo brzmienie głosu, intonację tego »beauty« wymawianego przez Wellsa i że jest w tem coś bezradnie zmysłowego, lubieżnego bez namietności, zadziwionego przez zachód słońca wśród trawienia i łączącego te dwa fenomeny w jedno nawpół-cielesne odczucie.

I know, I know Newmana nie jest dowolnym zwrotem literackim – zresztą u Newmana niema tego rodzaju dowolności, jego pisarstwo jest doskonałym, ścisłym wyrazem myśli. *I know, I know* jest sformułowaniem niezrównanym faktu trudnego do uchwycenia, lecz niezaprzeczalnego, stanowiącego najgłębszą podstawę naszej istoty. Na dnie naszej duszy jest światło. Pozostaje ono w łączności z słońcem niegasnącem i wie o tem, wie, że wie prawdę o każdej rzeczy, która się jej ukaże, gdyż jedynymi rzeczami, jedynymi rzeczywistościami są decyzje woli, fakty, a raczej akty—czyny moralne. Wiemy, że wiemy całą prawdę o nich i widzimy każdą różnicę, każde odstępstwo, zboczenie, uchylenie od tej prawdy, ale ująć ją wprost, sformułować in abstracto i ex professo nie jesteśmy w stanie.

I know, I know Newmana – to znakomite określenie tego, co tak wspaniale zresztą wypowiedział Pugno w *Voce* o świadomości religijnej, a raczej o budowie duchowej natur religijnych.

Nie zapomnieć, nie utracić z oczu tego *I know I know*.

Każda wiara w zbawienie człowieka musi być uniwersalna. Katolicyzm jest nieuchronny.

Nieuchronnym, w samej idei człowieka zakorzenionym faktem jest kościół. Człowiek jest niezrozumiałą zagadką bez kościoła. Życie ludzkie jest szyderstwem i igraszką, jeżeli kościoła niema.

Mental >>hinterland<< H. G. Wellsa nie zapomnieć i nie stracić z oczu. W gruncie me myliłem się — jest to przecież coś spowinowaczonego z owym >>it<< Marca Twaina.

Dość ciekawy punkt widzenia w polityce przy czytaniu Welisa. Każda klasa ma swój sposób życia i wynikające z niego zaspokojone lub niezaspokojone potrzeby. To stanowi nieuniknioną jej ograniczoność, ale poza obrębem tych granic, może istnieć i in potentia istnieje zdolność i wola konstrukcji społecznej. Konstrukcja ta jest jedynym właściwie przedmiotem polityki. I ona tylko wchodzi w rachubę. Zdolność, lub niezdolność kon-

struktywna jest tem, co kwalifikuje, lub dyskwalifikuje polityczne klasy. Najczęściej jednak uważa się wprost inny, niż nasz klasowy habitus za źródło wszystkich klęsk i braków naszego ustroju politycznego i bezwiednie uważa się sam brak tylko tego habitus, lub posiadanie habitus sympatycznego za zdolność polityczną i źródło nadziei.